

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok II.

Łódź, 24 — 26 grudnia 1945 r.

Nr. 21 (28)

JAN ALEKSANDER KRÓL

Gawęda wigilijna pisarza

Zaczynam tę „gawędę wigilijną” tak jakbyśmy rzeczywiście byli razem, drodzy pisarze i czytelnicy. Po lewej ręce leży na biurku komplet „Wsi”, po prawej piętrzy się teczka listów. Jestem z Wami i pośród Was. Brak tu może tylko najmłodszych, dzieci płowo-włosych — naszej nadziei i wiary w przyszłość wsi. Od nich więc może — proponuję — zaczniemy.

Było to w pierwszych latach okupacji w tajnym gimnazjum nad Nidą, niedaleko Wisły. O tych dwunasto-czternasto-letnich chcę mówić dziewczętach i chłopcach.

Jakże opisały te dzieci w jednym z pierwszych zadań *niedzieli*? Wyobraźcie sobie tę czułość, powagę i napięcie rodziców rzucających dzieci w konspiracyjne gimnazjum. Wyobraźcie sobie tę gromadkę uwolnioną od prac domowych, z opłaconą nauką i lepiej wyposażoną, niż stać na to było wiesz przed wojną. Co się stało z energią duchową dzieci wyzwolonych z tradycyjnych więzów pracowniczego nędznego i zacofanego gospodarstwa? Jak się ona wyraziła w nowej sytuacji? I na czym ta nowa sytuacja polegała? Oto dzieci przestały patrzeć za ogonem pilnowanej krowy, za pługiem, gęsiami i kobiałką nakopanych kartofli. Popatrzyły te raz na *całą nidziańską dolinę*. To jest ta sama, którą znał Dygasiński i której wymowa sceniczna jest tak wielka, że w jego powieściach ludzie i zwierzęta poruszają się jakby zaklęci jej prawami. Prześliczne kobierce łąk. Wielka perspektywa łagodnego zbocza, gdzie domy, płoty i drzewa rysują się jak wycinanki układane jedne nad drugimi. A dzieci w szkole zostały zobowiązane do wyrażania swoich wrażeń i potrzeb. Więc kiedy przyszło do opisanie „*Niedzieli*”, pokazało się, że wielka scena doliny opanowała ich wyobraźnię. Nie kościół i nabożeństwo — były dla nich wydarzeniami, a *przechadzka*. Pisały: „*być w wielu miejscach*”, „*przemierzać duże przestrzenie*”. Zjawiają się punkty etapowe o estetycznym dla wędrówek znaczeniu: most (stać na moście!) na wzgórzach Czarkowski park (6 km) i Jurkowski (2 km). Świadomość monumentalnego a zarazem sielankowego wymiaru tej sceny była uderzająca. Zadania ozdobiły rysunki kredkowe — *zielone łąki, czerwone domki miasteczka na wzgórzu i błękitne niebo*. Po takiej scenie „*gromada, tylko gromada*”. „*Oddałbym całą niedzielę dla jednej tylko przyjemności przebywania z kolegami i koleżankami*”. Pośród łagodnej okolicy ta młodzież idzie korowodowym rytmem „*jak orszak królewski*”. Chłopcy i dziewczęta wzięwszy się za ręce. Pomińmy banalność porównań, a zwróćmy uwagę na wrażliwość tych dzieci, na kolory i formy. Pisały: „*złociste łąny zbóż*”, „*rumieniejące sady*”, „*różowe powietrze*”, a o dziewczętach: w *jasnych sukienkach* „*zrywają kwiaty*”, „*gonią motyle*”.

Tak to kiedy przestały być „ojcu poganiaczem”, kiedy zwolniono je „z pasionki”, a znalazły się w nowym układzie nabywania „*wiedzy książkowej*”, ujawniły natychmiast powszechną wrażliwość estetyczną. Te dwa warunki zdecydowały o zmianie ich stosunku do przyrody, do „*gospodarczej*” przyrody dorosłych. I one, dwunastoletki zaledwie, już wykroczyły poza treść zamkniętej kultury ludowej. Odczucie piękna było pierwszą formą postępowej ekspansji owej gromadki. I na tej to fali miały za chwilę rozwinąć się inne formy bardziej skupiające i konkretyzujące jej nową świadomość społeczną. Przybyła nowa uoźennica. Bosa dziewczynka, o jasnych włosach i wielkich oczach. Dzieci odpisywały właśnie na ankietę: — *dlaczego wstąpiły do gimnazjum?* Napisała: „*po to, aby podnieść kulturę lu-*

dową do kultury narodowej”. Ten zwrot nie powstał ani z przepisanie ani z napomknienia. W jej wsi nie było Koła, nie było też rezonujących sąsiadów. To było objawienie talentu w *sprzyjających warunkach*. To był *głos czasów*.

A potem pokazał się pierwszy rewolwer i padła nań tajemnica. A potem już i koło literackie nie wystarczało i pomiędzy poetów z miasteczka i ze wsi padło oświadczenie: „*my klub chłopski*”...

A jeszcze później trzech z nich życie oddało w walce z okupantem i trzem dziewczętom Niemcy narzeczonych ubili.

Drodzy pisarze i czytelnicy, uczcijmy narodziny takiej młodzieży chłopskiej.

* * *

Wśród tej gromadki czwórka zdradzała wyraźne uzdolnienia literackie. Dwóch padło, o dwojgu jeszcze usłyszymy. Pomyślmy, że w podobnej sytuacji wychowawczej znajdują się dziś w Polsce *dziesiątki tysięcy* dzieci chłopskich. I zdajmy sobie sprawę z tego, że kilkadziesiąt lat temu talentom chłopskim w innych zaczynać wypadało warunkach. Jeszcze do roku 1850 system chłopskiej gospodarki stanowił czyste odwzorowanie wieku XIII. Magrys pierwszy wśród pośmiewiska próbuje ulepszenia nawozu, Kurasiowi na widok rozłożonych książek sąsiad powiada: „*to wszystko tyżki żuru nie warte*”. Nazwa „*gazeciarz*”, którą mu

WILHELM SZEWCZYK

Pastorałka maluczkich

Oj, urodziła Matka Syna na torze, pod wagonem,
ciasno i wietrzno chłopcu było w pomieszczeniu onym.

Z żeber wagonu tłusty olej na białe padał ciałko,
nie przyszedł nikt z gorącą wodą, z chlebusiem
i kobiałką.

Pan Bóg — ci w czyścicu aż do świtu przegadał
z duszyczkami,
iż oto idzie Rycerz, który czartowskie moce złamie.

Szedł pierwszy górnik do roboty i oczom nie chce wierzyć,
bo tu na szynach pod wagonem Dzieciątko Boże leży.

Wyciąga bańkę z ciepłą kawą i prosi: Bier a lykaj,
A Matka Boska zaś poprawia leżenie na kamykach.

A tu — ci zimno, wiatr z haldy szum bryzga w twarz
Syneczka,
oj, grzeście ludzie, by nie trzeba rznąć trumiennego
wieczka.

Taka hań zima obrodziła, wąsata, mrozem tęga,
a Jezus, choć na Śląsku, nie może dobyć węgla.

Po famiolkach na choinkach pierniki złote świecą,
a tu na Dziecko Boże wichry z wszystkich północy lecą.

Oj, bijcie w dzwony na kopalni, wyskoczcie windy
z głębi!
— Matula w rączkę senna chucha, bo wicher ją oziębił.

Ty maszynisto do Katowic pędź i mów wojewodzie,
że tu w Czerwionce w poprzek toru Salvator się narodził!

Józef skądś desek przyniósł, teraz wagon obstawia nimi
ażeby cieplej było Panu na górnośląskiej ziemi.

A Matka Boska jeno w rączkę chucha, dmucha i dmucha
i tak w Dzieciątku rośnie większą ochotą i otuchą.

Ach, Panie Jezus, ach, Dzieciątko, jakże tam pójść dziś
mamy,
skoro z nas każdy Ślązak stamtąd wykłęty i wygnany.

Skoro i nam dziś trzeba by się na zimnym tulić torze.
na nowo rodzić, Polski czekać, by nas tuliła, Boże!

przyczepiają, miała obelżywe znaczenie. Pisarze chłopscy tych lat — a policzyć ich można na palcach — są samoukami w czytaniu i pisaniu, żaden nie przekroczył wykształcenia „czterech zim”.

I naszej młodzieży potrzebna jest pomoc. O ileż jednak *obszerniejsza* już dziś i w stopniu i zakresach.

Jeżeli pragniemy, aby z tej młodzieży wyrosło jak najwięcej tegich pisarzy i jak najszerszej rozwinął się krąg inteligentnych czytelników, nie nasza to dziś tylko sprawa. I nie nas to należy obciążać wyłącznie. Umiejmy rozróżnić: Naszej młodzieży potrzebne są szkoły powszechne, gimnazja, szkoły rolnicze, zawodowe, fabryczne, Uniwersytety Ludowe i wyższe. Tę robotę musi zrobić *ktos inny*, i my na jej wyniki oczekujemy, my działać już musimy w związku z tymi właśnie instrumentami, a nie docierać poza ich zasięg, do zaniedbanej i jeszcze nie włączonej w proces kształcenia młodzieży.

Od nas pisarzy można wymagać, abyśmy przejrżeli programy szkół i zabrali głos, abyśmy polczyli szkoły, młodzież i bili na alarm, abyśmy określili proporcje między rodzajami szkół, ale my dziś już conąć się poza fakt, że istnieją dla dzieci chłopskich szkoły wszystkich rodzajów — nie możemy. Właśnie ich rozwój i doniosłość określa wymiar naszego powołania pisarskiego.

Podobnie nasi czytelnicy mają prawo stawiać nam pytania jako swoim doradcom w sprawach oświaty, ale nie mogą żądać od nas, abyśmy zastąpili młodzieży szkolne wykształcenie.

Naszej młodzieży są potrzebne *teatry ludowe*. Wielki Instytut Teatrów Ludowych musi się odrodzić. To on będzie młodzież w zespoły organizował i kształcił bezpośrednio. My dostarczymy sztuk, zajmniemy stanowisko wobec kierunku rozwoju sztuki widowiskowej, będziemy kontrolować, protestować, entuzjazmować młodzież, ale już i w tej robocie warunkiem koniecznym obok Instytutu Teatrów jest istnienie *Instytutu Socjologicznego*. Bo to nie naszym zadaniem jest zbieranie materiałów socjograficznych, a co gorsza, podawanie ich za literaturę piękną. Skończmy wreszcie z dyletanizmem obserwacji jednostkowej i przypadkowej ale i skończmy z kultem dla pamiętników chłopskich i całej literatury dokumentalnej jako *najwłaściwszej* formy literackiej w twórczości chłopów. Prof. Chałasiński nie po to zebrał plon największej na świecie ankiety w „*Młodym Pokoleniu Chłopów*” aby po staremu powieściopisarz czy publicysta racyt ułożyć powieść o wsi albo artykuł bądź to na podstawie wspomnień, bądź na podstawie przełotnej tylko czy dłuższej nawet, ale jednostkowej obserwacji. Właśnie to z okazji wstępowania naszej warstwy w kulturę narodową mógł być spełniony ideał *poetyki* postawionej niegdyś przez K. Irzykowskiego, jednego z największych krytyków polskich. Irzykowski mówił o trzech stopniach literatury: 1) o literaturze *materiałowej*, 2) *walczącej*, 3) *spełniającej*.

Dlaczego my chłopscy pisarze mielibyśmy zostać właśnie dzisiaj zawróceni do *pierwszego* stadium, które charakteryzuje folklorową prymitywną kulturę ludową, czy dlatego tylko, że jeszcze wystarcza ona poszarpanymi szczątkami jak wykopaliskowy przeżytek? Podczas, gdy w nowym ruchu wiesz prze do postępu, do przemian, do wyższej i bardziej skomplikowanej roli w państwie.

Wiciarze przecież nie zdjęli ze swych sztandarów hasła „*z żywymi naprzód trzeba iść*”. Literatura dokumentu była zawsze wytworem *mas*. I dlatego chłop nauczony czytać i pisać dostarczył jej w ostatnim 20-leciu w tysiącach egzemplarzy. My ją cenimy niesłychanie, ale w innej funkcji.

(Dalszy ciąg na str. 2-ej)

Gawęda wigilijna pisarza

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Uważamy, że mijają czasy, kiedy jeden autor (jak Balzak) próbował dać obraz wielu środowisk o olbrzymiej galerii typów socjalnych i kiedy czytelnikowi wystarczyło to dyletanckie przybliżenie rzeczywistości społecznej. Dziś pragniemy wiedzieć dokładniej i pewniej i pragniemy aby o nas wiedziano równie ściśle.

Z nieznamości rosną nieporozumienia a sama nieznamość jest już pewną formą lekceważenia. Społeczne wyniesienie naszej warstwy jeśli ma się dziś urzeczywistnić — musi się wyrazić tak w poznaniu i zrozumieniu przez nas resztę narodu, jak w gruntownym poznaniu i zrozumieniu nas.

Sami dla siebie stajemy się dopiero zrozumiali po przez dokumentarną literaturę mas chłopskich. Rzeczą uczonych, publicystów i pisarzy będzie ten materiał wyjaśnić i w oparciu o jego bogactwo — a uporządkowane i sprawdzone — treści projektować i przebudować, tym razem z większą gwarancją co do obiektywnej trafności w ocenie i wyborze środków.

Zdajemy sobie sprawę, że dalszy rozwój przemian społecznych na wsi i w całym społeczeństwie, postępu w technice i rolnictwie wpłynie na spotęgowanie kształcenia się młodzieży chłopskiej. I my pisarze będziemy na swój sposób przyspieszać i organizować te przemiany, ale i tu — po pierwsze — nie można nam wyznaczać roli dublującej bardziej powołanej od nas czynnik, jak: partie polityczne, organizacje młodzieżowe, sama technika przemysłowa i rolna, oraz organizacje zawodowe i spółdzielcze. Po drugie — niezrozumienie zadań pisarstwa chłopskiego na obecnym etapie dziejów wsi nie może nikogo upoważniać do żądania, abyśmy, zamiast stawać u czoła procesu przemian, zatrzymywali się na pozycji takiego np. wójta Słomki, który w granicach gminy obserwując przemiany społeczne dochodził do wniosków, że całe zło doli chłopskiej płynęło z karczm, zaniku strojów i obrzędu, a poprawa na wsi z Kas Stefczyka, melioracji i wyprzedzały parcelowanych przez ziemian majątków. Te uwagi Słomki właśnie, dlatego, że wyrażały tylko cząstkowe spostrzeżenia i cząstkowe zrozumienie decydujących tu sił, prowadziły do błędów, sprzeczności i praktycznej bezradności.

Czas wreszcie w dobie współzrądzów chłopskich na jakieś u pisarzy wsi narodowe a nie powiatowe rozumienie rzeczy. Czas aby obok polityków przodownikami duchowymi chłopów stali się wreszcie pisarze. Bo źle byłoby, gdyby podstawa programu politycznego — światopogląd miał być nadal wójtowski tylko, a program zażywać narodowego uznania. W ten wigilijny wieczór pierwszego roku nowej Polski pomyślimy o takich właśnie narodzinach pisarstwa i czytelnictwa chłopskiego.

Moja „gawęda wigilijna” odbiega dalece od „gawęd redaktorskich” takiego np. Jantka z Bugaja. Kucharczyk zwał siebie „Jantkiem” i wdzięczył się do czytelnika gwarą ocierającą się o przedmieście — „jak byśmy chcieli to wszystko mieć w naszym piemku, co ci recepciorze, jantykorze chcom to... dejmy se pyska, żeby nosów nie uszkodzić wypijmy „brudesa” kwaterką rycinusu”...

Można i tak, owszem, ale pod jednym warunkiem, że się nie pismo, ale piemko wydaje, piemko regionalne i trzeba to przyznać — Jantek z Bugaja nie inną rolę wyznaczał w długiej liście pism, gdzie redaktorował, nawet „Wsi i jej pieśń”. Stąd ta serdeczność odpustowa i zabawa w naiwne rangowanie pełne zmyłek, jak to na ludowym kiermaszu: witajcież kumie i wy kumie. Po równi Wrona i Kubiniec. Pierwszego upewniał Jantek, że „talent jest i to nie powszedni”, drugiego, że „talent macie niepiłony”. Patronuje temu duch rzeczywistości literatury dla ludu, dla owych najniższych czytelników sięgających w oszołomieniu odpustowym po zeszytyk „Rinalda” albo „Sowizdrzała” ze straganu, dla tych kobiet, co to się tłumaczy: „adę mi kramarz gadał, że to Matka Boska Przytulająca”. Ta serdeczność jest wysocze szlachetna i wzruszająca. Chodzi o czytelnika, który ledwie czytać umie, ba, o takiego nawet, który nie umie, ale będzie słuchał. Stąd i główny tu pisarz to byłby nasz stary Stopczyk pod kuplety oberkowe układający, byłaby Rudnicka na kalendarzach wychowana i stąd Reja przypominająca, a wszyscy inni o tyle odpowiedni, o ileby coś pochwycili z turowych i szopkowych obchodów po karczmach gdzie wesoło i po kądzieliach, gdzie wzdychań, piosenek i bajd wiele.

To jest ta literatura i ten dla niej typ pisma, do której wiedzie droga jeszcze ze średniowiecza, droga ustnej tradycji — nie dokumentu, ale igrów i wzruszeń ludu zebranego w osób kilka albo i w ciżbę. Jeszcze jej żywym heroldem, jej wędrownym bardem był pod koniec XIX wieku Ferdynand Kuraś. — Kiedy w butach jego roboty paradowali i „gospodarz majętny i chałupnik chudobny i dziewczyna — córka posażna i sierotka biedna” paradowały razem ze wsi do wsi opowiadane przez niego, różne historyjki, anegdoty i wiersze, ale już jak sam powiada — najczęściej z roczników „Dzwonka” i „Chaty” wyczytane.

Tak się spotkały te dwie tradycje: wędrowną — ustną i piemną — industrialną. — Jak opowiadał Olcha, przy organizowaniu „Wsi i jej pieśń” chodziło się i po 80 km. Była to konieczność, ale i zarazem obrzęd. Bo i obrzęd póty trwa, póki jest konieczność. Dziesięć lat temu mieliśmy więc jeszcze coś z manifestowania się średniowiecznej ludowości. Nie była ona jednak naturalna, u Jantka z Buga-

ja widać już wyraźnie stylizatorstwo, podobnie — jak u Cierniaka — zachowywanie i ożywanie czegoś, co albo ginie albo się przemienia.

Bo kiedy Kuraś wędrował z anegdotami w rodzaju „jak chłop pana wykiwał” — był chłopem bez żadnych szkół, a miał w głowie ledwie kapitał książeczek *Promyka* dla ludu. I czasy nie odstawały wielce od tych, jakie wyraża przysłowie: „nie boję się pana ani ekonoma, odrobiłem pańskie, będę siedział doma”.

Alte współczesna 40-létnia Rudnicka przeszła w tym roku „Kursy” i rwie się do dalszego kształcenia nawet za cenę załamania się jej pięknej, póki prymitywna i nieświadoma siebie, poezji. I chłop dzisiaj ten „bezimienny” nawet — nie kram, a kiosk z gazetami zostaje w miasteczku, co już oznacza nie jednostek, ale mas samych wyciąganie z rezerwu „kultury ludu rolnego”.

Przed 90 laty reprezentant ówczesnej arystokracji umysłowej chłopskiej, artysta, poeta, Jan Rak, zamawiając byłą pisał o sobie jako o „Pisarzu Ludowym”.

Ja tu na wsi wychowany
Znam co bieda, chleb owiany
Znam głodowe, ciężkie lata,

MAŁY KRĄZEK TEGO ŚWIATA,

My dziś znajdujemy się w sytuacji, kiedy kilkadziesiąt tysięcy młodzieży wiejskiej przebywa w szkole średniej. Te kilkadziesiąt tysięcy przekroczyło „mały krązek świata”, przekroczyły go tysiące działaczy społecznych i oświatowych, tysiące inteligentów chłopskiego pochodzenia do miast przeszerzowane.

Głos Jantka z Bugaja sprzed 10 laty zobowiązujący pisarzy chłopskich do twórczości wedle praw „małego krązka” był ostatnim głosem, który dziś w gawędzie wigilijnej tylko jak echo przypomnieć się może.

Poeto, rozkochany w prymitywnym, naiwnym odruchu „na Bugaju pięknie grają, same nóżki podrygają” — żegnamy Cię!

Właśnie weszła nowa uczennica. Ma 12 lat. Bosza dziewczynka o jasnych włosach i wielkich oczach, weszła na scenę polską, aby „podnieść kulturę ludową do kultury narodowej”. Weszliśmy i my pisarze chłopscy, aby wspomóc i wzbogacić tych, po przez których w pierwszym rzędzie lud będzie musiał zdać egzamin dziejowego momentu, a egzamin ten polega dziś nie na okazaniu ludowości przez lud, ale na osiągnięciu europejskości przez naród. Oto zadanie dla warstwy chłopskiej, dlatego być nam pisarzom trzeba u czoła tego procesu, a nie na Bugaju. Taki jest sens narodzin naszego zrzeszenia, ogólnochłopskiego nie regionalnego.

Jan Aleksander Król

Z dawnych kolend

Poniżej zamieszczone kolendy pochodzą z roczników 1909 i 1910 „Zarania” — pisma ludowego, o którego zasługach dla budzenia i organizowania świadomości chłopskiej na początku XX w. — wspominaliśmy często na naszych łamach.

Odzwieraładają one, w jak niesłychanie mocny i żywy sposób wierzenia religijne kojarzyły się ze społeczną myślą ludową.

Stanowią one pewną analogię do popularnych w okresie wrzenia rewolucyjnego r. 1905 kolend robotniczych Łodzi i Zagłębia.

Autorzy niżej drukowanych kolend: Michał Łazarczyk i Kajetan Sawczuk — to znani w swoim czasie pisarze ludowi Kongresówki. Obydwa umieli nadawać wysiłkom i tęsknotom wsi polskiej kształt poetycki najbardziej jej bliski i zrozumiały, oparty o wyobrażenia i idee mocno w niej zakorzenione, nie tracąc nic ze swego bojowego pędu ku lepszej przyszłości, jaką zapowiadają Narodziny Chrystusa, niosącego ludowi sprawiedliwość.

„ODRODZMY SIĘ W DUCHU”

„ZARANIE” Nr. 4.

Lulajże, Jezuniu, moja perełko,
Niechże Ci lud polski śpiewa pieśń wielką.

Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj,
A naród nasz polski w nędzy otulaj!

Zawitaj nam, Zbawco, dziś narodzony
I popraw nasz, biednych, los utrudzony.

Lulajże, Jezuniu, Zbawco wszech ludzi!
Niechże Twe przybycie ze snu nas zbudzi.

Niechaj nikt nie gardzi nami biednymi,
Bo takich Bóg najprzód witał na ziemi!

Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj,
Do „związków” i partii lud nasz otulaj!

Zapał w nas miłości bratniej kaganiec,
który wśród nas krzewi chłopski wysłaniec.

Zaranie kochane — idea nasza,
Co umysł rozjaśnia, ciemności rozprasza.

Zbudź ze snu lud polski, skarć naszych wrogów,
Daj abyśmy się zbyli wszech złych nałogów!

Zapał w nas poczucie lepszej przyszłości,
Daj, abyśmy Cię mogli chwalić w szczerości!

Daj, Panie, poczucie celów jaśniejszych
W oświacie bez granic, a w grzechach mniejszych.

Użyj nam dni szczęścia, Ojczyźnie chwały
Daj dzieciom, by lepszych chwil doczekały!

Niech, Panie, niesnaski wśród nas zaginą,
A dobre w nas chęci niech się rozwiną:

Do wiedzy ochota niech się rozwinie,
A wtenczas w pośród nas wszelkie zło zginie.

Wiem, że ja słowa kończę kolendę:
Wam, bracia po pługu, życzyć wciąż będę —

Obfitych owoców życia nowego —
Odrodźmy się w duchu i serca całego.

KAJETAN SAWCZUK

z Komorna na Podlasiu.

KOLENDA CZYTELNIKÓW

„ZARANIA”

„ZARANIE” Nr. 51.

(na nutę „W żłobie leży”).

Już pamiętkę narodzenia
Wiek dwudziesty obchodzimy,

Wyglądając z utęsknieniem

Że się wreszcie odrodzimy,

A za rokiem rok upływa
I oświaty wciąż przybywa,
By lud był odrodzony.

Lecz oświata dla nas braci,
Tak dziwnie zmieszana
Księża inna, chłopska inna,
Jeszcze inna dla pana.
Bo dla ciebie dosyć chłopie,
Abyś wiedział, że to w szopie
Chrystus Pan się narodził.

Wszak Tyś Jezu się narodził,
Żeby krzywdy skasować,
A oni nad tym pracują,
By na świecie zachował
Obludę, zdzierstwo, ciemnotę
I dochodów czasy złote,
A chłopca nie żałować.

Lecz my bracia, zrozumieśmy,
Że nas gnębi ciemnota.
Wiedźmy o tym, że oświata
Droższa dla nas od złota,
Lecz ta, która jest w „Zaraniu”,
ta jest droga, miła Panu,
Co się dla nas narodził...

Drodzy bracia, czytelnicy,
Przyjmcie moją kolendę.
Do „Zarania” się garnijcie,
A do was pisać będę.
Diabłom dadzą moją duszę,
Jednak prawdę pisać muszę,
Bo tak Chrystus nakazał.

MICHAŁ ŁAZORCZYK.

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

„PASTORAŁKA” POD OKUPACJĄ

WSPOMNIENIE Z 1942 ROKU

*Silentium, waszmościowie, czapki proszę z głowy,
Przychodzimy tu do was orszak kolendowy
Z widowiskiem nabożnym, które nazwę ma tę:
HISTORIA DE DOMINI NATIVITATE.
Kto dla Pana w swem sercu jasłeczko uczyni,
Ten będzie miał urodzaj w polu, a skarb w skrzyni!
Kto liłośnie Paniękę dzisiaj przenocuje,
Niechże się już w tym roku o nic nie turbuje!
Kto Josephowi wórem pomoże w kolendzie,
Temu się jako nigdy, wiera, szczęście będzie!
Chwała Tobie, Jezu, na wysokiej górze,
A nam ludziom pokój na niskim pagórze!*

AMEN.

Tym razem estrada z nieheblowanych desek, na której zazwyczaj stało jęklive pianino, służące na próbach chóru szkolnego do „brania tonu”, estrada zazwyczaj ozdobiona li-tylko bohomazem „mapy”, przedstawiającej „spółdzielcze punkty odbioru w Generalnej Gubernii” — tym razem przybrała odmienny wygląd. Wzniesiono na niej osobliwy budynek, niepodobny do niczego, co w życiu spotkać można — albo też, jeśli wolicie, podobny potrochu do wystyckiego. Nic dziwnego — miał on spełniać tak różnorodne zadania, że musiał przypominać zarówno kościół, jak chłopską chałupę, zarówno Palestynę, w której wczoraj na świat przyszedł Zbawiciel, jak dawną SARMACJĘ i dzisiejszą Polskę, zarówno pole, na którym śpią pastuszkowie, jak wnętrze stajenki i pałacu Heroda; zarówno ziemię, jak niebo i piekło. Nic więc dziwnego, że budynek wyglądał fantastycznie, egzotycznie i nierealnie i — choć to na paradoks wygląda — zarazem ubogo i bogato. Składał się z trzech części: większej środkowej, i dwóch mniejszych przybudówek po bokach. Każda z trzech scen nakryta była daszkiem półkolistym, na środkowej tkwiła wieżyczka z chórągiewką, na prawej i lewej stały dwie banie, a na obydwu baniach — kogucik z błachy i kolorowego papieru. Ale przede wszystkim rzucała się w oczy wspaniała gwiazda, połyskująca tajemniczym światłem z za płatków żółtej i czerwonej bibułki, umieszczona na samym przodzie sceny, nad środkową częścią; — była to kolendnicza GWIAZDA BETLEJEMSKA.

PROLOGUS

Było ciemno, i tylko świece kościelne w prawym i lewym rogu sceny migotały obrzędowym światłem. Zabrzmiwały uroczyste dzwony, i gdzieś z tyłu, z widowni, z głębi, rozległ się śpiew — to szedł orszak kolendniczy z gwiazdą na kij, taką samą, jak owa na dekoracji. Przeciskając się między widzami, zmierzali ku scenie, za przewodem Gwiazdy, aktorzy „Pastorałki”: byli tam i Trzej Królowie, i Koza, i Turoń, i Herod, i kolendnicy w ludowych strojach i czapkach ze lśniącego papieru. Towarzyszyli im nasi dzielni muzykanci: był kłarnecista, którego nosowy i melancholijny instrument miał odegrać zasadniczą rolę w scenach pasterskich, skrzypek taki właśnie jak być powinien — więc nie śpiewnie po włosku kunsztowny, a trochę piskliwy, lecz za to bardzo liryczny, bębniista hałaśliwy i ponury — wreszcie — niezwykle ważny! — basetlista, bez którego jednostajnego i dysonanowego akompaniamentu orkiestra wiejska nic nie byłaby warta. Pieśń, którą wykonali kolendnicy, zatrzymawszy się przed kurtyną, była powolna i uroczysta, miała tony wschodnie jakby... A jednak, mimo że śpiewali z wielkim namaszczeniem, raz po raz dawali się unieść radości — lecz zaraz znów do nabożnej powagi powracali. „Gore gwiazda Jezusowi w obłoku, Joseph z Panną asystują przy boku”. I wybuchali wesoło: „Hojże! no, dana, dyna, narodził się Bóg Dziecina” — i nagle znów przestali przytupywać, ze czcią wymawiając: „W BETLEEM, W BETLEEM...”

Ten wstęp był zgodny z charakterem całego widowiska, które teraz nastąpiło. Podobnie bowiem, jak w owej starodawnej kolendzie, i dalej spletały się elementy — tak zdawałoby się sprzeczne, jak uciecha i misterium. Głęboki szacunek dla postaci NPMarii, nabożeństwo i celebracja nieklamana w scenach z Dzieciątkiem, ustępowały nagle wybuchom nieokiełzanego weseliska i komizmu prawie błazeńskiego. Król Baltazar, który „wyglupiał się” przed Herodem w sposób tak niepomahowany, że można było spaść z ławy ze śmiechu, klękał przed złośliwym z godnością i nabożeństwem i na widok cudu narodzin zachwyt malował się na jego niedo-
żętnie uczernionej twarzy.

MARIA I JOSEPH W BETLEEM NOCLEGU SZUKAJĄ

W takim właśnie poważnym, misteryjnym, organicznym tonie utrzymana była pierwsza część widowiska. Ujrzelśmy najpierw grzech pierwszych rodziców, potem Zwiastowanie.

Wreszcie za sceną rozległo się siarczyste bęb-

nienie, jakby na jarmarku w miasteczku, i wszedł pachol Heroda. Ubrany był po łowicku, podobnie jak Herod i jego ludzie, w odróżnieniu od wszelkiego innego narodu w „Pastorałce”, noszącego się po krakowsku, góralsku i mazursku. Pastuchy zbiegli się zaciekawieni, a pachol się rozwrzeszczał: „Hej, panowie gospodarze, Oto, co król Heród każe: (hupnął w bęben) Kmiotek, wódarz, czy pan moźny, Żoldak, mieszczan, klecha, zbożny, Item wszyscy rzemieślnicy, Płatnerze, pasamonnicy, Krawczy-kowie, szewczykowie, Cieśle i koleśnikowie, Miodowary, piwowary, Młodzian czerstwy i grzyb stary, Ktokolwiek w tej ziemi żywie, Służąc Królowi poczcziwie, Niech do Betleem przybywa, Heród go mym bębem wzywa! (znów przeraźliwie zabębnił) Bo w ratuszu będą ninie Spisywać na pergaminie Wszystek lud jerozalemski, Polski, oraz cudzoziemski!” Lud rozszedł się, mrużąc przeciwko tyranowi, gdy nagle rozległy się dźwięki poważnego i szlachetnego Poloneza. To weszli Maria i Joseph, bardzo strudzeni. Joseph miał włosy podgolone po szlachecku i zawiesiste wąsy, ubrany był w żupan przepasany pasem słuckim. W rękę trzymał kij pątniczy i z wielką atencją szedł przed Marią, jakby torując jej drogę. Krążyli po scenie, a Maria śpiewała w takt poloneza: „Pomaluśku, Josephie, Pomaluśku proszę, Widzisz że ja nie mogę biec w tak daleką drogę!” Zmartwiony Joseph zatrzymał się i łagą uderzył w podłogę. Wyszła zażywna Karczmarka, w stroju mieszczyki krakowskiej, z twarzą od trunków rumianą, i wzięła się, oburzona, pod bokki: „Ej, nie pukajcie, stary! Mam ja gości dosyć, Napróżno mię będziecie o gościnę prosić. Sama ci ja w spodzie nie mam miejsca swego, Taki naród się zwalił tu dnia dzisiejszego!” Zbliżyła się Maria: „Panagabóg, babusi! Będziecie nam radzi?” „Jeśliś mi co przyniosła, pewnie nie zawadzi!” „Przyniosłam ci, babuśku, Boga w swym żywocie, O którym to proroctwo było, jako wiecie.” Na to się Karczmarka rozindyczyła: „Mojas ty, bardzo proszę, nie baw się plotkami, A wiedz, że ja nierada gadam z chudziętami! Wyrozumiej, że dziadów i bab nie nocuję, Jeno ślacheć z panięty, bo trzos u nich czuje!” — i wyszła z wielkim hałasem. Zmartwie-ni Maria i Joseph puścili się w dalszą drogę dokoła sceny, aż Joseph zatrzymał się z podziwem, jakby miał przed sobą wspaniały pałac: „Oto pałac przed nami możnego szlachcica, Zobaczmyż, czy ugości Matkę Królewica.” Na stukanie istotnie wyszedł Szlachcic, przesadnie ubrany, z fioletowym nochalem i czarnymi zawieszonymi wąsiskami, bardzo brzuchaty, w czapie na bakier; sapał z gniewu i wrzeszczał: „A cóż to za hałasy, tartasy? Zjedz kata! Kto pozwolił ci, dziadu, witać mię, jak brata? Idźcież dachu nad głową poszukać inędy, Fora z mojego dwora! Nie gadam z przybłądy!” I znów rozległ się polonez, i znów podróżni wyruszyli w poszukiwanie. Maria znów śpiewała: „Pomaluśku, Josephie, Pójdźmy w inne strony, Kędy żywie w ubóstwie, Ludek wiejski, nieuczony...”

Gdy znów Joseph zastukał łagą, wyszedł chłoppek: „Radzi wam, moi państwo, w tej chacie głodziemy, Jeno czym was częstować? sami z głodu mrzemy. Jedną ci mam izdebkę, w niej dzieciśków siła, Nie użyje wasć wczasu (tu zdjął czapkę) ni ta Panna miła!” Joseph chciał już odejść, i dziękował za pocziwe słowo, gdy Chłopka, która wyszła także, i patrzyła na N. Pannę z nabożeństwem, jakby przeczuwała w niej Matkę Bożą, zatrzymała ich energicznie, ofuknąwszy męża: „Czyś ty rozum postradał, czy śpisz jeszcze, chłopie? Nie ma miejsca w alkierzu, to znajdzie się w szopie. Nie szukajcie już, panie, po mieście gospody, Połają was, słukają, miasto dać wygody. Prosimy ichmośpaństwa do domku naszego, Będziemy wam służyli z serca ochotnego...” Tymczasem rozległy się dzwony, światło się ściemniło, i czerwone promienie łuna zalały scenę. Maria i Joseph weszli za zasłonę — i wtedy stała się rzecz niezwykła. Łuna zgasła, i zaczęło się śaćczyć niebieskawe światło, a z prawej i lewej strony, weszły dwa półchóry aniołów. Dzwony zwolna ucichły, Aniołowie uklękli, pochylając głowy do samej ziemi. Zabrzmiwały mszalne dzwoneczki, jak podczas podniesienia. Nastąpiła chwila wielkiej ciszy — TO ZBAWICIEL PRZYSZEDŁ NA ŚWIAT!

O PRAWDZIWYM MISTERIUM LUDOWYM

„Pastorałka”, którą postanowiliśmy w naszej szkole spółdzielczej na Boże Narodzenie wystawić, była specjalnym opracowaniem tekstów i melodii ludowych, dokonanym przez Leona Schillera. Dzieło to, oparte na tradycyjnym i źródłowym materiale, na zbiorach Kolberga i Ks. Mioduszeńskiego, wreszcie na starodawnych rękopiśmiennych kanonach, nawiązujące do bliskich i znanych nam, jakby od dzieciństwa przyswojonych — przeżyć, — jednak wydawało się dziwnie świeże i nowe. Dzia-

ło się tak dlatego, że przywracało ono prawdziwą tradycję TEATRU LUDOWEGO, usuwając niedorzeczny i obcy nałot. Choćby takie „Betleem Polskie” Rydla, równie popularne co trywialne... Pamiętam z dzieciństwa ten okliwy melodramat jasłeczkowy, podzielony na trzy akty, z których każdy dzieje się w ściśle określonym, realistycznie traktowanym miejscu. Więc pierwszy: pastuszkowie śpią na polu, z tyłu widać dekorację wsi, wiernie namalowaną z licznymi chałupami, dymami z kominów, deskami w płocie itp. Druga scena, u Heroda, przypominała banalny oleodruk burżujski: czerwona sala tronowa, Herod w gronostajach i złotej koronie, a za nim diabeł ubrany jak w marnej operze, z błoniastymi „nietoperzymi” skrzydełkami; tak mieszczych wyobrażał sobie szatana. Jakże inny był diabeł w naszej „Pastorałce”, w kozuchu wywróconym do góry, w czerwonych butach i z usmoloną gębą, ruchliwy i śmieszny. Takim go przekazała tradycja ludowa, tradycja, która nie silła się na fałszywy realizm, i misterium całe zamknęła w umownych, konwencjonalnych, symbolicznych formach, nie próbując ukryć nieczęści i prymitywu, a przeciwnie, wydobywając go z całym impetem rubasznnej zabawy. Władze niemieckie, które zezwoliły na przedstawienie „Pastorałki”, dały się nabrać. Rydel wydawał im się groźniejszy, bo tam w dziecinny zakreśleniu zjawiał się ks. Józef, i inne postacie historyczne, deklamujące głupawo wierszyki. Ale „Pastorałka”, utwór z ludowej tradycji poczęty, nasiąknięty był ludową siłą i załamany przez ludowe na świat spojrzenie. Choćby ta scena, w której Szlachcic wyrzucił M. Boską, a Chłopek ją ugościł... jej sens społeczny był uderzający, i tak właśnie odczuliśmy ją wszyscy, jak nas było dwustu, stłoczonych na niewielkiej przestrzeni szkolnej auli.

O HERODZIE OKRUTNIKU

Wreszcie przyszło przeżycie tak silne i niespodziewane, że to świąteczne szkolne przedstawienie, dla zabawy urządzone, przeobraziło się nagle w jeden z owych społecznych zrywów, których się nigdy nie zapomina i za którymi zawsze się tęskni. Wynikło ono ze sceny najmniej — zdawałoby się — przynoszącej takich skojarzeń, bo z groteskowego i komicznego aktu o Herodzie.

Weszli dwaj gwardziści Heroda (po łowicku!) z papierowymi czapkami na głowach i z drewnianymi halabardami, nosąc bez najmniejszego uszanowania ozdobne krzesło chłopskie, wyobrażające Ich głupkowate miny i skłonności do śmiechu bez przyczyny pobudzają do radości całą widownię. Króla wcale się nie boją, przeciwnie, kpią z jego zapalczywości. Za chwilę wszedł Herod — był to bogaty wójt łowicki, w odświętnym stroju, potężnej postawy, barczysty i brzuchaty. Jednakże jego twarz nalana i czerwona jak burak nie tylko nie była okrutna, a nawet przeciwnie, dobrodusza. Kontrast ten był nieodparcie komiczny, tym bardziej, że Herod siłił się na udawanie grozy. Rozkraczywszy nogi, Herod usiadł sztywno na tronie i wykrzyczał jednym tchem, bez żadnego znaku przestankowego, tonem kolendników chodzących po wsi z Gwiazdą — następującą tyradę:

Owom ja sam król Heród okragłego świata
Ze złotem i ławorem kwitną moje lata
Afryki antypody i podziemne kraje
Wszystko to w mojej mocy królewskiej zostaje
Mnie hołdują na klęczkach i Hannibalowie
Mogół i macedońscy też Aleksandrowie!

Jak zwykle prymitywni recytatorzy, Herod stawał niewiarogodnie niedorzeczne akcenty logiczne. Odsapnąwszy w widocznym sposób, nadal ryczał: „Ale nie wiem co się dzieje. Że się tron pode mną chwieje?” Dopiero teraz, nie wcześniej! pachol ryt micznie potrzęsny krzesłem, co tak Heroda zaciekało, że wstał, popatrzył z zainteresowaniem na siedzenie „tronu”, znów usiadł i w najspokojniejszy sposób wypowiedział takie niespokojne zdanie: „Czemu jestem niespokojny, Chociaż nie ma głodu, wojny?” I znów klepie mechanicznie: „Hej, dworzenie, feldmarszały, Nucić mi tu madygały, Bom pogrążon w smutku cały!” Pachol zaczął kulawy śpiew baraniami głosami, nęmrawo, po wiejsku w najgorszym znaczeniu tego słowa, z gębami szeroko uśmiechniętymi, tłukąc halabardami o podłogę. Przerwał im nagle krzyk w niebogłosy: „Najjaśniejszy mocharcho-o-o-o-o!” Wpadł Trzeci Pachol, i stawiając fałszywe akcenty, odklepał szybko zawiadomienie: *przed twojemi wrotami Stanął uciec Trzech Królów altembaśny — złoty Każdy z nich ma koronę jakoby gwiazdzistą Każdy kroczy z dworaków przystojną asystą...*

Pochód Trzech Królów był paradny i serdecznie komiczny. Najwięcej uciechy budził Baltazar, mały pocieszny murzynek; ale i „Słoń” „Wielbiąd”, „Ży-

(Ciąg dalszy na str. 4).

„JAK CHŁOP JAŚNIE PANA WYKIWAŁ”

Jedna z anegdot, jakie krążyły wśród ludu pańszczyźnianego. Spisał Michał Dworak. Podał do druku dr Józef Spytkowski.

O naiwności i bierności chłopów pańszczyźnianego ustaliła się u nas, i bodaj czy jeszcze nie pokutuje, książkowa opinia, nawiązująca do postaci Ślimaka z „Placówki”. Tymczasem rodzima twórczość ludowa ukazuje nam wieś jako świadomą ucisku i zmuszoną, wobec nierówności sił, walczyć z nim — podstępem. Tego typu anegdoty zapewne pokrywają przed dworem po karczmach opowiadane musiały bawić i wyzwać tęsknotę do niezależności od „panów”, skoro przetrwały w tradycji ustnej śląsko-krakowskiej. Słychać tu i dalekie echa tej wiary ludu, która była wątkiem „niedobrego pana” w II cz. „Dziadów” i dawnego średniowiecznego antyfeminizmu, i znanego z wielu anegdot ludowych ucieśnienia triumfu prostackiego sorwta nad zawodową mądrością.

JÓZEF SPYTKOWSKI

Raz wyjechał chłop orać na pańskie pole. Aż tu, na odwieczny o coś twardego zaharował lemieszem; patrzy, a tu kawał brązowej obręczy spod skiby polyskuje. Rozgrzebał głębiej ziemię i ujrzał sporą skrzynkę, kutą ze wszystkich stron, choć ta już deski na niej zbutwiały.

— Kufer złota! O Boże, dziękuję Ci, żeś mnie wysłuchał i opatrzył na stare lata!

Pooglądał się dookoła, czy go kto nie podpatruje, zasypał dziurę ziemią i miejsce naznaczył patykami... I orał dalej, jakby nigdy nic; a ciągle przemysłując, co też w tej skrzyni: czy złoto, czy stare pieniądze, czy też co innego... O, bo chłop wiedział, że dawni panowie bogatsi byli od dzisiejszych i wiedział wiele skarbow w ziemi pozakopywali. Wiedział, co znalazł

i rozmyślał, jakby to ku chałupie przewieźć, żeby się dziedzic o niczym nie dowiedział.

Tak zafrasowany przyjechał do chałupy i opowiedział wszystko żonie; chociaż zaraz się pomiarkował, że zrobił nieopatrznie, bo jakby tak komu wygadała... Baba zaś przynaglała do przywiezienia skrzyni, bo koniecznie chciała wiedzieć, co też w niej będzie. A jakby tak była pełna złota?...

— A cóż mi ty kupisz za tyle pieniędzy?

— Dyc ci wszystko kupię, co potrzeba: i korale i chustkę i buty ci dam zrobić u Felusia, żebyś ino nikomu o tem nie rozpowiadała.

— A komuż ja bym miała gadać?... Za taką mnie masz?...

Ale chłop był przezorny, bo znał się na babach. Jak się ino ściemniło poszedł pokrywemu do pańskiego stawu z koszykiem, nachwytał szczupaków i pociskał je na drodze, co szła przez pańskie pola. Potem rozburił w garnku człeczce łajno, związał z kłosa kropidło i schował to wszystko na wozie pod siedzeniem, pokrywemu przed babą. Zaprzągnął konia, zawołał na nią i wyjechali po kufer.

Noc była jasna, miesiąc świecił. Dookoła było cicho, ino baba ostrożna rozglądała się po polach, czy ich kto nie widzi.

— Patrzmo, cosik się na drodze świeci, jakby kto srebrne łyżki pociskał!...

Łakoma zeskoczyła z wozu i zaczęła zbierać porzucane szczupaki. A chłop tymczasem zamoczył kro-

pidło w garnku i z niedobaczku chlust na nią z góry! Przeleknięta rzuciła rybę i wskoczyła na wóz.

— Nie jedź dalej, Franek! Czy nie widzisz?... Dziedzicowe szczupaki powylażyły ze stawu na drogę!... a z nieba śmierzdzący deszcz leje!...

— E, co ci się ta znowu przywiduje... Przykryjże się zapaską kie się boisz, a nie wykrzykuj tak, bo nas kto ze dworu podsłucha. Zamaczał znowu kropidło i chlusnął na nią z poza głowy. Baba zatuliła się chustką i siedziała jak trusia. Nagle we dworskiej oborze zaczęły becząc barany. Ale to tak przeraźliwie jakby je kto podrzynał. Babę ciarki przeszły, do z dawna słyszała, że z czarnych baranów „zły” wychodzi na świat, ludzi zwodzić. Odsłoniła głowę, i wybladła spojrziała na chłopca...

— Franek, wróćmyż się! Nie słyszysz co się dzieje...

— Słyszę przecie... Ale myślę, że to lepiej...

— Co... lepiej?... O czym gadasz?... — pytała zdziwiona.

— No, że to się już raz skończy z tym panem...

— Dyc co?... gadażże?...

— Dy przecie tej nocy diabli mieli przyjść po dziedzicową duszę!... Nie słyszałaś?...

— A nie gadałbyś!... Rany Boskie, wróćmyż się! Zatuliła się nazad chustką i siedziała już spokojnie. Chłop popędzał kobyłę, aż dojechali do dworskiej roli... Tu uwiązali konia u wierzy i poszli po kufer. Był taki ciężki, że ledwie go na wóz dowlekli.

Baba wytrzymać nie mogła i kiedy jeszcze chłop konia odprzągał, ona już cioską zbutwiało wieko podniosła i aż ręce załamała... Tyle złota nigdy jeszcze w życiu nie widziała. W jednej chwili ujrzała siebie samą jak w lustrze: ubraną jak organięcina na Wielkanoc, w nowej tybetce, butach wyszywanych, kwiciastej spódnicy i nowiutkim rańtuchu, a z wielkimi koralami na szyi.

— Kupisz mi, Franuś, kupisz?... Przecieżeś mi obiecał — dopominała się z dnia na dzień...

Ale chłop nie był głupi, żeby pieniądze takim trafem zdobyte na babskie stroje wydawać, gdy mógł je na coś lepszego obrócić. Przerachował dukaty, zakopał je pokrywemu za stodołą i przemysliwał, co by też za nie kupić. A możeby tak... dwór?... Taby się było panem dziedzicem... Taby się gospodarzyło...

Ale baba nie odstępowała od swojego... Upierała się tym bardziej, że nie wiedziała, gdzie chłop pieniądze podział... — A może mnie i odejdzie?... i weźmie sobie jaką panią... O, ja ta wiem, że nawet jaśnie panienki łase na pieniądze...

To też spokoju chłopu nie dawała; płakała przed nim i molestowała. A gdy i to nie pomagało, zaczęła się odgrażać, że do dziedzica na skargę pójdzie. Chłop na to porwał powroza, przegnał ją porządnie przez suchy las, aż baba z chałupy uciekła i poleciała prosto do dworu ze skargą.

Dziedzic zaraz wezwał chłopca do dworu na przesłuchanie. A żeby mu zaś w lasy nie uciekł, posłał po niego dwóch polowych z fuzyjami.

Chłop, niby Bogu ducha winien stanął przed dziedzicem, pocałował go w rękę i z uśmiechem patrzył, jak dziedzic zdejmując ze ściany kańczug...

— No, przyznasz się sam do wszystkiego, czy cię mam oświecić?...

— Niby do czego się przyznawać, proszę jaśnie pana?...

— Hej, służba! — zadarł się dziedzic — uderzając pięścią w stół. — Wprowadzić mi tu Franciszkową!...

Weszła i od razu z taką złością spojrziała na chłopca, jakby go chciała z zemsty oczami zjeść...

— Tak, tak, tak, proszę łaski jaśnie pana, wszystko było jakem opediała...

— I cóż ty beskijo bałamucisz jaśnie pana! — przerwał jej chłop. — Ubzdurałaś se!... Coś jej się przywidziało i już mnie z tydzień morduje, że jakieś pieniądze znalazł... A mnie się ani nawet o tem nie śniło... Wszystko wyssała z palca, aż mi już cierpliwości brakło i musiałem ją powrozem...

— A klameco! Będiesz oszukiwał jaśnie pana?... Nie pamiętasz jakieśmy po ten kufer jechali?...

— Jak to było?... Opowiedz no sama, szczegółowo — rozkazał dziedzic, siadając na fotelu i kładąc kańczug na kolanach.

— A tak było, proszę łaski jaśnie pana. Najbardziej to była noc przy miesiącu i szczupaki z dworskiego stawu powylażyły na drogę... że ażem się przelekła... A potem to, za przeproszeniem, taki śmierzdzący (że już nie powiem) deszcz lał... A potem... potem...

— No, co potem?! — krzyknął znieczepliwiony dziedzic ściskając nahajkę.

— No a potem, beczaly te barany we dworze... kiedy diabli mieli przyjść po jaśnie pana duszę, żeby za chłopskie krzywdy...

— Dość! — zerwał się dziedzic chwytając za kańczug. — Hej, służba! precz z tą wariatką... — Potem zwrócił się do chłopca. No nie dziwię ci się biedny Franciszku... żałuję cię i współczuję z tobą... Masz tu talara za pomyłkę; tylko proszę cię, zachowaj wszystko przy sobie... a wybij jej ta z głowy te błaźnista!...

Pastorałka pod okupacją

(Dokończenie ze str. 3)

rafa”, tj. — prymitywny łeb słońca itp., osadzony na kijku i niesiony przez chłopca, którego portki i buty widać spod kapy. Królowie prezentowali się koledze królowi, a następnie przemówił pompastycznie Herod: „Witam regem Orientis i arabskich włóści, A królewskiej Murzynów też rad jestem Mości. Mówcie, co was przywiodło do mojego państwa? Czyli trzeba mi bronić... (wstał i niby z wielką czcią zdjął koronę z głowy) świętego pogaństwa? Wtedy król Kacper, na tle muzyki organowej, opowiedział Herodowi co Trzech Magów wiodło do Betleem. I oto, jak uciał, zmienia się nastrój groteskowej uciechy na wzruszająco poważny:

Będzie już rok bez mała, jak na szczycie wieży,
Śledząc komet obłogi po niebieskiej ścieży,
Wpatrzony w ów świetlisty Cherubinów thronus,
Ujrzałem, jako ku mnie Angelus Polonus
Spuszczał się uroczyście z wyżyny nadchmurnej
I w te słowa rzekł do mnie poseł złotopiórny:
(tu wszyscy kłękli, nawet zwierzęta i pachyły Heroda, i tylko on sam pozostał ze łbem ponuro zwieszonym)

„Jest w cichej Sarmacji Betleem-Ephrata,
Miaścisko bardzo podłe, tam Salvator świata,
Emanuel, przez Pismo od wieków głoszony,
w lichej szopie, w jasełkach będzie narodzony.
Jest ci to Król nad Króle, jest to Pan nad Pany,
On z jęctwa wyswobodzi nieszczęsne ziemiany,
Z pierworodnego grzechu świat wszystkich wybawi,
Rajski upad męczeńskim żywotem naprawi”.
Co rzekłszy, Anioł pański znikł na firmamencie,
Jam zaś peregrynacją przysiągł odbyć święcie
Do onego miasteczka, do biedoty owej,
Kędy ma się objawić Duch Wolności Nowej!

I tu właśnie nasz kolega, grający Kacpra, jakby celowo podkreślił i rozdzielił dwa te słowa: WOLNOŚCI — NOWEJ, jakby chcąc przez to zwrócić uwagę, że nadaje im specjalne znaczenie. To widowisko, tak działające na wspomnienia, nas znowu szczególnie uczuliło — i cała sala zadrgała przy tych patetycznych i ze wzruszeniem wypowiedzianych słowach. Wiedzieliśmy jakie znaczenie mają te dwa wyrazy — i z rosnącym wzruszeniem patrzyliśmy na scenę. Aktorom zaś jakby się udzieliło nasze napięcie — i oto podawali nam tekst odwiecznego widowiska ludowego z takim zrozumieniem, jakby — śpiewali PIĘŚN PATRIOTYCZNĄ!

WYZWOLENIE.

Teraz Herod otrzymał wiadomość, że z jego rozkazu zginął własny jego syn w rzezi niewiniątek — i oto naprawdę sposepniał. Ukrył twarz w dłoniach — gdy światło z wolna przygasha, i rozległa się poważna muzyka organowa. W przecięciu kotary stanął Anioł: „Ach, królu, królu, bój się Pana Boga, Stoi oto kościśca śmierć u twego proga! Nie zawieraj koronie, nie ufaj w bogactwa, Wszystko stanie się rychło zdobyczą robactwa! Teraz na tle trupio zielonego światła, wysunęła się pobielona wapnem kosa z za kotary, ale nie było to śmieszne, o nie! Rozległa się posępna muzyka organowa i szept przeraźliwy dał się słyszeć: „Cza-a-a-as, czas! Już niosą trunę! Pó-ó-ójdź, Pójdź, Odbierz fortunę! Za zbrodnie tego świata, Czekać hojna zapłata! Już miotają czarci losy, Chrapliwe już słysząc głosy: N-a-a-asz wiecznie będzie!” Zabrze-

czała ostrzona kosa, a Herod powstał z tronu i chwycił się oburącz za głowę: „Ach, biada, biada, mnie, Herodowi, Utrapienemu wielce królów! (począł tupać w podłogę). Ach, rozstąp się ziemio, a pochłoń mię swego, Potępieńca piekielnego!”. Teraz zwrócił się do widzów ze skrucą: „Chciała Bożego Syna zabić moja ręka, A teraz-ci mię czeka piekiel sroga męka!” Anioł wykrzyknął strasznym głosem: „Koniec twego imperium zbliża się, Herodzie! Już pokój, przez Anioły głoszon, jest w narodzie!” i Śmierć, w białym czczyle płóciennym, opryskanym wapnem, z beznosą twarzą i pustymi oczodołami, wargnęła gwałtownie na scenę. Napięcie między nami doszło do punktu kulminacyjnego. Ci, którzy siedzieli z tyłu, wstali. Organ grzmiał, a Śmierć zatraciła swój zwykły szopkowy wymiar — stała się jakaś szekspirowska, potężna, jak Sąd Ostateczny. Herod, trzymając się oburącz tronu, wyprostował się nagle. Potęgą władcy błysnęła w jego oku: „A śmiałybyś się porwać na króla możnego, Co ma wielki majestat wedle boku swego, Bieczki pełne czerwieńców, złociste korony, Wojska, jak gwiazd na niebie, do swojej obrony? Jako księżyc mocniejszy nad gwiazdami świeci, Tak ja Heród na ziemi mocniejszy od śmierci!” Ale pomimo tych dumnych słów Widmo zbliżało się z wolna i bezszelstnie i mówiło beznamiętnym, melodyjnym, echowym głosem: „Księżyc razem z gwiazdami, Pod moje — emi stopa — am!” Patrzyli sobie w oczy — chwila ciszy — i oto Herod się załamał, padł na kolana i zaczął jęczeć gorączkowo: „Ach, droga pani, wstrzymaj się w twej złości, Dam ci złota, purpury, okryj nagie kości! Dam ci wielkie urzędy, kosztowne bławaty, Dam ci berło, koronę, złotogłówne szaty... Weź sobie moją żonę i synaczka mego... (tu łasił się w upokarzający sposób) Ale wstydź się zabijać króla potężnego!”

Śmierć była beznosna, i za chwilę Herod padł pod ciosem kosy. Osobliwe westchnienie przeszło przez salę, jakby wydane przez jednego człowieka. Organ zabrzmiął tryumfalnie, a Śmierć zwróciła się do widzów:

O jak jest nędzny ten żywot człowieka,
Ledwie się zrodzi, a już grób go czeka:
Śmierć nie ma względu — wszystkich z tego świata

Zarówno zmiata.

Otom ci purpurata z tronu wysadziła,
Sama się będę sceptrem królewskim bawiła —
WSZELKI, CO MIECZEM JENO, ALBO RZADZI
ZŁOTEM,

LEGNIE POKOTEM!

Na widowni ktoś wtedy powtórzył jasnym i silnym głosem: LEGNIE POKOTEM! i wszyscy zerwali się z miejsc! Wtedy kolega, który grał Śmierć, zamiast zejść ze sceny, jak to z roli wypadało, rzucił kosę, aż drewno trzasnęło o podłogę, zerwał czelcho z głowy, tak że ukazała się zmierzwiłona czupryna i błyszczące oczy, z pod powiek umazanych szminką. — i dobitnie rozdzielając wyrazy jeszcze raz powiedział drżącym ze wzruszenia głosem:

WSZELKI — CO — MIECZEM — JENO — ALBO — RZADZI — ZŁOTEM,
LEGNIE — POKOTEM!

KOLUMNA WIERSZY

JÓZEF CZECHOWICZ

WIGILIA

...olędo czarujesz a łowisz jak niewód
a rośniesz jedlicznys żywiczny bór
tak radziśmy cackom i świeczkom i drzewu
co z gestwin przybyło w zieleni piór
lulajże Jezuniu lulajże lulaj
a ty go Matuniu w płaczu utulaj
królowie i święci w kamiennych portalach
czuwają noc każe natężyć słuch
muzyką sypnęło z wysoka i zdala
zachrząścił jak perły pierwszy ruch
lulajże Jezuniu
widziadło śnieżycy wyszydza to świszczce
dłoni trędownata raniące o głóg
wiesz w łunie wigilii śpiewają chórmistrze
krzewino zaiste zrodził się bóg
lulajże Jezuniu lulajże lulaj
ty nigdy nie będziesz chodził o kulach.
ach ślepi, ach głodni nakryci gazetą
po bramach śpią ludzie centurie chór
im sianem stajenki jest asfalt i beton
z ciał można ułożyć piękny wzór
lulajże człowieku lulajże lutaj
ulubione pieścidełko samotności.

JÓZEF CZECHOWICZ

ZE WSI

tych kijanek tych praczek u potoczka
kujawiak kujawiaczek
siwe oczko śpij
bura burza od boru
i jak bór dudni piorun
rzucili na wodę zlocisty kij
pogryzł deszcz widnokrepi niedobry
w glinie zburzył krople rude
mokra wieś wieczna wieś
takie dno zielonego świata
znad wisien czeresien zmyło błękit
śpij dziecko niezabudek
no śpij
w okno patrzysz a pocóż
to znasz
niepogoda na uwrociu opłakała trawkę
mam ja za obrazem grający kij
mam ja ligawkę
kujawiak kujawiaczek
w muzyce śpij

JÓZEF OZGA MICHAŁSKI

NARODZINY CIELEĆCIA

Ocielila się wreszcie krowa —
cielę miało cztery nóżka —
wół nie wyrzekł nawet pół słowa,
prawym okiem patrzył na natręta.
A to małe stanęło wątpiace
w czworonożność swego istnienia,
ale stało i piło stojące,
słodkie mleko z białego wymienia.
Naraz pełne własnego odkrycia,
że udaje mu się ssąć wymię,
jęło zadkiem dziecinny fikać
a wół wtedy wyrzucił mu imię.
Zajrzał przy tym pod ogon cielęciu,
żeby zbadać, jakiej płci jest cielę,
lecz się groźnie odsunął z niechęci
jak ksiądz chrzczący najducha w kościele.
Więc już krowa becziała cicho
popuszczając swej małej mleko,
a wół sapał i ciężko wzdychał, —
musiało mu nie być lekko!
Wtedy ona jemu do ucha
rzekła parą z przejadłych zębów —
i to w to miejsce, gdzie go gryzła mucha,
liznęła go i dotknęła gębą.

JAN BARANOWICZ

PIEŚŃ O ŻOŁNIERZU NIEZNANYM

Rok — suchotnik krwią dni charkał, patyczał i żółkł.
Niedospanie na kopiskach. Tęskne zwisy rąk.
Zieleniał w kępach dąbrowy partyzancki pułk,
Więc tam przystał. Znow nie dojadł. W słonku sechł.
[W dżdżach ślął.

Szumiały o nim legendy wśród leszczyn i brzoź,
Do wsi, klęczącej w zapłociu, przywiewał je czas.
I pachniało w dusznych izbach wolnością. I rósł
W piersiach pacierz niepodległy. I piał się jak las.

Wyroili się koszary. Błysnął hełm SS.
Pluskotały kule gęsto. Wygorzała wieś.
Wyrabiali dęby gonne. Mit jak sztandar spelzł.
Zadeptali grób zakłakły wśród paproci gdzieś.

Wśród ostreżyn śpi kamienic najstraszliwsza z cisz,
Dłi się złocą od odznaczeń. Lśni defilad śpiew.
I nikomu nigdy z brzozy nie opowie krzyż,
że nie jesień rdzawi mchy, lecz partyzanta krew.

PAWEŁ KUBISZ

KREW Z ŻYL WYCIĘKŁA

(II)

Na wyściernione pola — opada krzyk wron...
Wie cisawy, prrr, hola — kruki kraczą zgon.
Na poranione pola, krzyk jęczydło szło —
Dzwon zadzwoni do kolan, ciągnie nocy dno.

Chłasn timer księżyc w chałupiska trupio blady snop
Zimne światło wyluska w sieni wrosły chłop...
Winogrona zbieleją — w pierś rośnie ich kiść...
Puhacz nocą zapieje, zadrży smutek — liść.

Wyszali się, wietrzyko na wygwizdną dal —
Z nocą mówić czas blisko, ródź słowa, grzmij, pal!
Z cierpkich słów poemacie, zgnij płomień i bunt,
Idziesz od chłopskich sadyb podpalać proch, lont!

Zegary czas wołają — w lesie gruchnął strzał,
W lęku dusza się kaja, wiatr muzyką grał..
Zapomnij o miłości... dawno nastrój pierzchl —
Hulał, hasał, wymościł dziwny świat — zły zmierzchl!

To jest jesień i sława, wdęta w mleko pierś.
Sypie liściem kurzawa, trzeba zjeżyć sierść!
Trzeba finał wykrzyzczyć, dzisiaj jeszcze czas —
Piły w lesie już dzwonią — ludzki ścinać las!

Z TEK I WIEJSKICH RYSOWNIKÓW



Rys. St. Ambroziewicz

KRZAK WIERZBY KARŁOWATEJ

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

MŁODOŚĆ CÓRKI ROS

Spod tych lip mojego rana,
z szumu traw moja młoda —
ojczyzniana, jak zagroda,
wiatrem chłodnym przywiana.

Tylko domków czerwonych więcej,
ten sam na południe dzwonem głos
Błogosław domkom, jeśliś święty,
urodzonej w zły czas mojej córeczce ros.

Już krwawnika biały baldachim
liść owija jak rdza —
a ty mi ciszy dłoni niby dzbanuszek nachyl
z jesieni błękitnego szkła.

Niechaj ci koralików natrzęsą jarzębiny,
polne głogi, niech sznureczek uwija.
— Oj, były ci to, oj były
zaślubiny mojej córeczki z liliją

Jej rączki jak listki szeleściły,
czajki na skrzydełkach jej nie uniosą
— Oj, były ci to, oj były,
zaślubiny mojej córeczki z rosą.

JAN BOLESŁAW OZÓG

LESIARKA

O luba, patrz:
siekierę ci
skrzwawiła noc pokryjomu
i księżyc — tracz
docina pni, —
do domu, panna, do domu!

Na szali z zbóż,
bławatków, wyk,
śpią kochankowie prości
Patrz, Kasiu: klucz
purpury — bas
otwiera pola ciemności

Włosiany smyk —
i dusza z róż,
całus — piosenka strzępiona —
i gwiazdy ócz
obojgom wraz
w ciche noc bierze ramiona

Weź mnie też, wódz,
siekierę rzuć,
nie tobie tu i nikomu!
Chodźże już, chodź
i wróć się, wróć
do domu, Kasiu, do domu!

Już noc — rzuć kłoc
i odwal pień! —
fajerant sagom i drwalce! —
Jak cicha noc,
Jak cichy dzień,
dzień — wiersz na brzozowej kalce!

WŁADYSŁAW MILCZAREK

MROŻNE KWIATY

Na dworze mróz, na niebie księżyc, gwiazdy...
W chałupie na szybach kwiecie kwitnie,
Całe girlandy dziwnych kwiatów w okna wlaży
Mieniąc się brylantowo, srebrzyście i błękitnie.

Szyby w chałupie jak barwne witraże w kościele
Takie mróz wymalował cudne ornamenty;
Tu liście jakieś dziwne, a tu paków tyle,
Tutaj kwiat wykończony, a tutaj zaczęty.

Liście rosną i ciągle coraz inne,
Kwiaty kwitną i kwitną wciąż to nowe kwiaty;
Ktoś łączy je w ornamenty, układa w girlandy
I niewidzialną ręką wpycha je do chaty.

Na dworze mróz, na niebie księżyc, gwiazdy...
W chałupie mroźnych kwiatów zatrząsienie;
Na szyby znów kwiatów tysiące wlaży
I ciągle trwa i trwa szalone to kwitnienie.
z tomiku „Liryzm Wołynia”.

FRYDERYK MISTRAL (1830 — 1914)

Przełożył
CZESŁAW JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

MIREJO

SIELSKI POEMAT PROWANSALSKI

Wprowadzamy we „Wsi” dział tłumaczeń z poezji ludowej innych narodów, słowiańskich i zachodnio-europejskich. Literatura polska ma tu wiele zaległości — ale nie leży w naszych zamierzeniach mechanicznie uzupełniać luki. Pragniemy rozszerzyć naszą twórczość przez poznanie wybranych osiągnięć obcej poezji — dla nas żywych, przykładowych, pedagogicznych; chcemy stwierdzić, czy istotnie jesteśmy zapóźnieni — czy będziemy mogli z obcej twórczości czego się nauczyć, — czy przeciwnie, wypadnie nam ją odrzucić, i na własnych, innych oprzeć się przesłankach.

Poemat o prowansalskiej dziewczynie, imieniem Mirejo, jest jednym z arcydzieł ludowej epiki europejskich, pierwszy tu raz po polsku podanym do druku. Był on pisany przez chłopą językiem „wzgardzonym”, uważanym za gwarę, — i zajmuje do dziś w literaturze narodu francuskiego świetne miejsce. Podajemy dwa wyjątki — jeden ukazuje patriotyzm chłopą prowansalskiego, tematem drugiego jest charakterystyczna scena załotów. Po staramy się wkrótce zamieścić dalsze fragmenty, jak również artykuł o Fr. Mistralu i jego poemacie, napisany dla „Wsi” przez tłumacza, Cz. Jastrzębiec-Kozłowskiego.

Z PIEŚNI PIERWSZEJ

W OBROSTNICACH¹⁾

Na Rodanu brzegach, wśród topoli
i płaczących wierzb, na chudej roli,
którą woda podmywa bez tam,
zamieszkiwał nędzną chałupinę
kum Ambroży. Ten ze swoim synem,
chodząc po wsiach, naprawiał w godzinę
tu kobiałkę, kosz dziurawy tam.

Gdy któregoś dzionka poprzez łąki —
swe łozowe dźwigając pałaki —
kum Ambroży i Wincenty szli,
Wicek rzecze: „Ojcie, spójrz na oną
chmur gromadę ponad Mageloną.
Jeśli gęstsza skupią się zasłoną,
przemokniemy, nim dotrzem do wsi!”

— „E! znad morza wiatr liśćmi powiewa.
Nie, nie lunie stąd żadna ulewa.
Inna sprawa, gdyby w schodni wiał —
odparł stary; — tak zaś deszcz nie grozi”.
— „Tatku, ile plugów się wywozi
w Obrostnicach?” — „Sześć”. To, dzięki Bozi,
jeden z domów najbogatszych w Krau!²⁾

„Hen ich ogród oliwny; wśród niego
migdałowce i winnice biegą.
Ale grunt, że ile w roku dni
(prawił stary, uśmiechnięty mile),
tyle jest tam alejek; zaś ile
tych alejek oliwkowych, tyle
możesz w każdej z nich naliczyć pni!”

Tak to sobie ci dwaj rozmawiali...
Słonko cudnie barwiło w oddali
chmurki, schodząc za pagórków wierzch.
Pędząc woły parami sprężone
i trzymając ościenie wzniesione,
na wieczere szli oracze w stronę,
gdzie brązował nad mokradłem zmierzch.

Rzeczce Wicek: „Już widać szczyt brogu
na ich gumnie; więc nam chwała Bogu
deszcz nie straszny” — „Ot gdzie raj dla trzód! —
podjął stary. — U nich tam hodowcę
nigdy głowa nie boli o owce:
w zimie idą na skalne manowce,
latem w gaik... Tam wszystkiego wbród!”

Na to znowu Wicek: „A mnie, tatku,
z ich fortuny całej i dostatku
cóрка domu jest najbardziej w smak.
Latoś, pomnisz? ta panienka miła
dwa koszyki u nas zamówiła
i pałaczek wprawić poleciła
w kobiałeczkę, której ucha, brak”.

¹⁾ Obrostnica — inaczej wiązowiec, drzewo z rodziny wiązowatych. Tutaj „Obrostnice” — to nazwa folwarku, który jest własnością rodziców Mirei.

²⁾ Krau — rozległa, kamienista i jałowa równina w Prowansji.

Tak gawędząc, kum Ambroży z Wickiem
przed domostwem stają obrostnickiem.

Jedwabnikom dawszy liście, zbiec
na ganeczek miało dziewczę właśnie,
żeby poprząść, zanim dzień dogaśnie...
— „Dobry wieczór wszystkim państwu!” — wrześnie
stary, łozę swą zrzucając z plec.

— „Pięknie witam was, kumie Ambroży!
Niech no przęda tu mi się ułoży
a wnet zejde... Cóż w tak późny czas?
Skąd Bóg wie? z Walabregi?” — „Juści!
U was wiedzą, żeśmy nie oszuści,
więc miarkuję: panienka nas wpuści
i na sianku przenocuje nas”.

Nic ponadto koszykarz nie gada,
lecz na bronie obok syna siada,
za czym rażno rozpoczęty kosz
plotą dalej... Każdy z nich co chwili
nad swą wiązką prędko się pochyli
i z posłusznych łozowych badyli
zręcznie wiąże spód i kształtny klosz.

Choć szesnastu nie miał lat Wincenty,
lecz jak dąbeczak był już rozrośnięty,
ciało silne miał i zgrabny stan
cerę wprawdzie śniadą bardzo, skwarną —
lecz czarnoziem rodzi przednie ziarno,
kto wytłoczy zaś winorośl czarną,
ten ma wino, wprawiające w tan.

Jak narządzać wiklinę należy,
jak się ścina pręt wierzbowy świeży —
wiedział świetnie. Choć trudniejszych prac
ojciec jeszcze nie dawał synowi,
jednak wszystko, co w fermach stanowi
sprzęt powszedni: kosz pod nawóz krwi,
ogrodnicze oselki do grac,

maty z trzciny, miotły i słomianki —
słowem wszystko, co ma u włościanki
zapewniony rychły zbył, już sam
umiał dzielny chłopak zrobić ładnie,
szybko, chętnie... — Tu przerwać wypadnie,
bo już ludzie schodzą się gromadnie
z pól i winnic do domostwa bram.

Więc Mirejo, gospodyni miła,
na guminnym stole postawiła
jarzynową sałatkę. I wnet
każdy formal, siadłszy w zgodnym kole,
zgarnia z misy na kamiennym stole
swą drewnianą łyżką bób, fasolę...
Tylko stary z synem plotą het.

— „Cóż to, kumie Ambroży? Do stołu
czy nie łaska z nami sięć pospołu? —
rzekł kum Ramon, obrostnicki pan,
ze swą miną rubaszną po trosze. —
Nie widzicież gwiazd? Rzućcie te kosze!
Córko, przynieś dwa talerze, proszę.
Jedziecie! Ktoż by pracował bez zmian?”

— „Chodźny!” mówi koszykarz do syna,
Siedli obaj i każdy zaczyna
krajać sobie tegi chleba złom;
a Mirejo — szparko że aż dziwo —
przyprawiła świeżutką oliwą
soczewicę, aby ją co żywo
własnoręcznie podać tamtym dwom.

Wiosnę miała Mirejo piętnastą...
Modry brzegu Font-Vieille! i ty, miasto
wzgórz rozkosznych, Baux! niziny Krau!
Czyście kiedy ładniejszą widziały?
Rozkwieciły ją letnie upały,
a na buzi różowej i białej
w każdej z jagód dołeczek się śmiał.

Jej spojrzenie było ros kropelką,
która boleść ulagadza wszelką —
czystsze, słodsze niżli gwiazdy dwie;
czarne kosy wily się wysmukle,
wzdłuż jej pleców, tworząc piękne pukle...

Do starego mówią: „Ejże! Gdzie wasz
głos? Nic, kumie, dziś nam nie zaśpiewasz?
Po wieczery nudnej — nudne sny”.

— „Kto kpi z starszych — odpowie dziadyga —
Bóg nań dmucha, że później jak fryga
frant się taki okręca i śmiga...”

Któż ma śpiewać, młodzi, jak nie wy?”

— „Gdzież tam, kumie Ambroży, my wcale
z was nie szysdim!” odparli fornale. —
Ale patrzcie: za chwileczkę już
wino wam się ze szklanki przeleje...“
— „Ha, był ze mnie śpiewak, dobrodzieje —
rzekł Ambroży — lecz dawne to dzieje.
Trudno! Dzisiaj w tym już ani rusz”.

— „Miły panie! — Mirejo go prosi —
zaśpiewajcie!” — „Chyba dla gosposi
takiej ślicznej — stary na to. — Cóż!
Chcesz mieć przykrość, to mi śpiewać przykaż.
Swoją prośbą gardło mi odmykasz”.
I tę piosnkę rozpoczął koszykarz,
wychyliwszy przedtem pełny kruż,

I.

Admirał Sufren kazał nam z Tulonu
wyruszyć w morze na wojenne znoje...
W pięciuset poszlim z Prowancji w te boje.

Pobić Anglika chciałem bez pardonu;
nikt ani myślał wracać w strony swoje
nim się wyspiarzy nie zło do zgonu.

II.

Ale przez pierwszy miesiąc tej żeglugi
nic i nikogo nie widzieliśmy — okrom
mew ponad morską jałowizną mokrą.

Zasię przez drugi miesiąc, złe szarugi
wciąż przyprowały nas o męki ogrom.
Każdy wybierał wodę jak dzień długi.

III.

Na trzeci miesiąc, bezcelową jazdą
już rozjuszeni, psioczyliśmy srogo,
że zmieść działami nie mamy tu kogo.

Wtem Sufren: „Dzieci! Na bocianie gniazdo!”
— „I oto majtek, nad wściekłą załogą,
Arabii szuka, kierując się gwiazdą.

IV.

O świcie krzyknął: „Niech cię depcą kac
Trzy wielkie statki wałą prosto na nas!”
— „Dzieci, do armat! Apage, satanas! —

woła zuch sufren. — Niech no te chłopac
wpierw powachają sobie ten ananas,
potem dostaną figi z innej paczki!”

V.

Ledwie powiedział — już widać jedynie
płomień: czterdzieści kul, jak grom zawził
siecze królewskie Anglików okręty.

Jeden po chwili już bez duszy płynie!
I słysząc tylko pęknięcie na szczęty
drewna, dział charkot, ryk fal w kotłowni...

VI.

Od nas do wroga tymczasem (o gratko
o szczęście!) wąski tylko został przedział
Sufren, waleczny i blady, powiedział,

stojąc na mostku sztywno: „Dość, gromadku!
Nie strzelać! By zaś Anglik nie zaśniedział,
Aix'ską oliwą zamaścimy go gładko!”

VII.

Ledwie powiedział, już cała załoga
chwytą topory, haki, halabardy.
„Hej, do ataku!” krzyknął zastęp hardy

tych Prowansalów. I na pokład wroga
szturm błyskawicznie przypuszczamy twardo —
i rzeź się wtedy rozpoczęła sroga!

VIII.

Och, co za ciosy, gdy nasi owładną
brytyjskim statkiem! Co za wrzawa dziki,
gdy maszt się wali na tłum, co umyka!

Niejeden Anglik oddał duszę snadno,
niejeden z naszych wziął za łeb Anglika,
by, walcząc z wrogiem, razem z nim pójść na dno...

M I R E J O

— „Rzecz, nieprawdaż? zda się nie do wiary —
przerwał sobie pocziwy nasz stary; —
jednak było tak, jak w pieśni tej.
Ja nie błądzę, bo może nie wiecie,
żem tam właśnie był sternikiem przecie.
Choćbym przeżył tysiąc lat na świecie,
nie zwietrzeje to z pamięci mej”.

— „Co! Tyś, kumie, walczył w tej rozprawie?
Wszak ich było trzykroć więcej prawie,
więc, jak kosę klepie młot, tak zgnieść
swą przewagą musieli was pewnie?”
— „Kto?, Angliści?!” warknął stary gniewnie
po czym znów się uśmiechnął — i śpiewnie
ciągnął dalej zwrotek swoich treści:

IX.

Od krwi się pokład śliski stał i gładki;
do nocy bój trwał, o drugiej zaczęty...
Gdy zrzedły dymy, spojrzę: Boże święty!
Stu ludzi z naszej poległo gromadki...
Lecz poszły na dno wszystkie trzy okręty,
trzy piękne króla angielskiego statki!

X.

Ku ojczystemu płyniemy brzegowi,
mając w kadłubie sto kul, żagle zdarte,
a i topory niewiele już warte.

Nasz Wódz żartuje mile, za czym powie:
— „Niezła-ście, chłopcy, zapisali kartę.
W Paryżu szepnę coś o was królowi”.

XI.

— „Wierzmy, Wodzu! Przysięg nam nie trzeba —
odpowiadamy. — Król ciebie usłyszy;
lecz cóż nam po tym — nam, ciżbie golyszy?

Domy rzuciwszy na opiece Nieba,
zmarlim za króla — a biedni jak myszy
wracamy. Widzisz, że brak nam i chleba”

XII.

„Ale pamiętaj, gdy się tłum pochylł
przed twoim pięknym wjazdem do stolicy:
nikt cię nie kocha jak my, ochotnicy!

Zacny Sufrenie! My byśmy w tej chwili,
zanim do własnej wrócim okolicy,
ciebie na tronie chętnie posadzili!”

XIII.

Tę pieśń ułożył, szyjąc sieci dratwą,
rybak z Martegi... — Sufren był na dworze
króla, lecz pono zawistni wielmoże

z jego się chwałą nie zgodzili łatwo.
— I już się nigdy nie zobaczył, gorze!
z nami, swą wierną marynarską dźwiatwą.

*

Rychło w porę dokończył swej pieśni,
bo z tych wspomnień coraz mu bolesniej
głos się łamał; lecz za prędko snadź
dla słuchaczy... Długo jeszcze kołem
siedzą, głowy zwiesiwszy nad stołem
i w milczeniu trwają niewesołem,
wspominając swą żeglarską brać.

— „W dobrych starych czasach, moi mili,
takie pieśni myśmy wywodzili —
rzekł Ambroży, łzę strącając z rzęs. —
Piękne były i długie... Dziś zgrabne
piosnki sobie śpiewacie powabne
po francusku. Słówka w nich jedwabne,
delikatne... lecz któż pojmie sens?...”

Z PIEŚNI CZWARTEJ

ZALOTNICZY

...Tegoż lata trzeci też z kolei
nadszedł młodzian przyjrzeć się Mirei:
Uriasz, bydła poganiacz z Sauvage*).
Czarne, wściekle tam byki-olbrzymy...
W upał letni jak i w zamróż zimy,
kiedy wicher gna chmury i dymy
lub ulewa biczem smaga twarz,

krępy Uriasz, pod słomianą wiatą,
sam z swym bydłem, zimę trwał i lato.
Urodzony wśród byków i krów,
miał też byka postawę, wzrok hardy,
czarność, dzikość i charakter twardy.
Ileż razy to, pełen pogardy
dla roztkliwień, chłop posępny ów,

*) wymowa: „sowaz”.

z lagą w garści, zasmolony, zadymiony,
bez pardonu od matczynych wymion
szedł oddzierać cielęta, i pęk
łamał kijów na krowie — aż, wściekła,
srogich razów uląkisz się piekła,
z rykiem bólu i gniewu uciekła,
odwracając łeb na cieląt jęk!

Ileż byczków w owym dniu odświętnym,
kiedy bydło stempluje się piętnem,
i jałowic ile zbijał z nóg,
pochwycał je za rogi same!
Miał też po nich upominek: szramę
między brwiami okrutną; a plamę
jego krwi niejedną spijał głóg.

— Był to piękny „dzień piętnowań”. Na to,
by czeredę zaganiać rogatą,
okoliczne wsie przysłały stu
najdzielniejszych jeźdźców. A tymczasem
w onym miejscu, gdzie z wielkim hałasem
podniecony tłum otoczył pasem
krąg szeroki pola, — tam i tu,

przebudzone zniecka, w rozpacz,
żgane celnym ościem ścigaczy,
aż tętentu rozlega się huk,
oszalałe woły, krowy, byki
w galopadzie pomykają dzikiej,
rozdeptując ślaz i tysiacyłki.
W jeden kąt zegnano trzysta sztuk.

Któż da wiarę? wbrew zwyczajom, strzemię
kopnął Uriasz i skoczył na ziemię. —
Zbita w kupę, przerażona znów,
trzoda drgnęła. I tłum nagle zoczy,
jak pięć byczków raptownie poskoczy
na arenę. Pałają im oczy,
bodą niebo łukiem pysznych łbów.

Jako wicher Uriasz gna za nim,
jako wicher, ledwie dotknie ziemi!
To przescignął je w biegu, to prast
w zad któregoś kijem, to potrzasa
ponad nimi dzida, to je kasa
swym ościem, to przed nimi płasa,
to im dzieli pięścią tęgi raz.

Wszyscy klaszczą w dłonie. Uriasz, cały
od kurzawy olimpijskiej biały,
wreszcie ujął wręcz jednego z nich
za dwa rogi. Bój na ostre wszczęty!
Czarny potwór chciałby zrzucić pęty,
wierci zadem, kark podrywa kręty,
krwią i parą zionie jego prych.

Nie daremneż podskoki? i furiaż
nie napróżna? Zręcznym ciosem Uriasz
strasznej bestii łeb o własny bark
wsparł, kolejno na obiedwie strony
kark mu skręca, łamiąc opór płony —
aż wtem człowiek i zwierz powalony
na ubity potoczą się piarg.

Ciżba tupie, wrzeszczy, brawa bije:
— „Zuch, zuch Uriasz! Niech żyje! niech żyje!
Krząkających pięciu — w chwata
chwata —

przyskakuje, byka trzymać razem.
I, swój tryumf wieńcząc i ekstazę,
rozpalonym nasz Uriasz żelazem
własnoręcznie piętnuje mu zad.

Uriasz widzi zaś tylko buhaje,
które zwalczyć mu jeszcze zostaje.
Jest ich cztery. Jak gdy, kosząc smug,
W miarę pracy coraz większy zapal
czuje kościar, tak on, choć zeń kapal
pot wysiłku, dogonił, połapał
i zwycięsko czworo zwierząt zmógł.

Pysznorogi, w białe łaty, krępy,
byk ostatni skubał chwastów kępy.
— „Dość, Uriasz, dość!” — ze wszystkich
stron

W następnym numerze:

PROZA POETYCKA

Anny Kamińskiej

I WIERŚE

Józefa Stachowskiego

dra się starzy. Niech się jeszcze podra!...
Bo z ościem opartym o biodro,
z gołą piersią, co łśni rosą szczodrą
znoju, oto znów naciera on.

Prask! Ugodził go w sam środek pyska;
oścień w drobne się drzazgi rozpryska.
Ból piekący wprawia byka w szal.
Chłop za rogi — by srożej mu dojeść —
chwytą. Pędzą, deptając polną tojeść,
po równinie. — Wsparci o rękęjęć
swoich długich szpikulców, jak wa.

nieruchomi w kulbakach, juhasy
okoliczni śledzą te zapasy.

Tamci — walczą! W oczach furii błysk;
poskramiając zwierza człowiek stacza
bój śmiertelny; zwierzę poskramiaacza
wleczę, w biegu zaś raz po raz zmacza
gęstą śliną swój krwawiący pysk.

Rany Boskie! górę bierze buhaj!
Człowiek na wznak obalił się. — „Słuchaj! —
krzyczą znawcy — udawaj, żeś trup!”
Zwierz atoli, z rozjuszenia srogi,
leżącego bierze już na rogi
i na oczach widzów pełnych trwogi
w górę ciska go na siedem stóp.

Przerażony tłum jęknął. W oddali
twarzą na dół nieszczęśnik się wali...
Tę szpecącą krechę nade brwią
nosił od tej pory. — Ten to młodzian
poprzez wioski rodańskich nad-wodzian
przybył konno, nieco schludniej odzian,
na zaloty, zbrojny w dźidę swą.

W dniu tym nasza gospodyni mała
samiuteńka nad zdroj się wybrała.
Podkasawszy rękawy i spód
jupki, rażno szorowała dzieże
do suszenia serów. Kogóż szczerze
nie zachwyci śliczne dziewczę świeże
z nóżkami w szkle przezroczych wód!

Rzecz Uriasz: — „Witam krasawicę!
Cóż, zmywamy dzieżki i donice?
Jeśli panna nie wzbroni, nad zdroj
bliżej zjadę i klaczkę napoję.”
— „O, ja o to bynajmniej nie stoję,
dostę wody mają nasze zdroje —
proszę bardzo, do woli ją pój”.

Na to młody dzikus: — „Moja miła,
gdybyś wyszła za mąż i przybyła
w nasze strony, do Sylvareal,
tobys takich nie zaznała znoi:
naszych czarnych krów się nie oswoi —
wolne, dzikie są, nikt ich nie doi,
więc kobiety wieczny mają bal”.

— „Chłopcze! gdzie się woły dziką zgrają
pasą, z nudów panny umierają.”
— „Dziewczę! gdy się jest we dwoje, dzień
krótkim zda się”. — „Chłopcze gorzka wodę
w tej obczyźnie panny piją młode,
a skwar słońca niszczy im urodę.”
— „Dziewczę! znajdziesz pod jodłami cień”.

— „Chłopcze! mówią, że na wasze jodły
rój zielonych węży wpelza podły.”
— „Dziewczę! dziobem zadają im sztychi
nasze czaple, nasze czerwoniaki!
więc nie straszne żmije ni robaki.”
— „Przebóg, chłopcze! mych obrotnic krzaki
za daleko są od jodeł twych”.

— „Dziewczę! nigdy — powiada przysłowie —
ksiądz ni panna z góry się nie dowie
w jaki będzie sądzono im kraj
pójść za chlebem!” — „Chłopcze! mnie nie trzeba
nie ponadto, byłem ten kęs chleba
z ukochanym jadła”. — „Wielkie nieba!
Tedy, dziewczę! swą miłość mi daj”.

— „Chłopcze, owszem! — odrzeknie Mirejo —
dam ci serce, gdy winne dojrzeją
na gałęziach tych grona; gdy liść
z twej wyrośnię dzidy, żółędzie;
gdy ten oto pagórek osądzie
jak topiony wosk; gdy trzeba będzie
poprzez morze do miasta Baux *) iść!”

*) wymowa: „bo”.

WŁADYSŁAW DUNAROWSKI

U C H R Z E S T N E G O

(FRAGMENT Z POWIEŚCI „LEŻĄC KRZYŻEM”)

Szybko uwinęła się Julia z zakupami. Nie tyle ze względu na dom, ile z tego powodu, że w mieście czuła się źle. Jakby ją coś dusiło. Dopiero u wylotu uliczki odetchnęła swobodniej i z wyraźną ulgą.

Gdy zniknęły ostatnie domki, ułamała róg kukielki. Już najwyższy czas, aby zapobiec burczeniu żołądka.

— Trza przegryźć — myśli, patrząc na ponętny kolor. Resztę dzieckom.

Poczuła niesmak w pieczywie i gorycz w ustach. Najwyraźniej — gorycz. Sama gorzka suchość na języku, żadnej wilgoci. Teraz żałuje, że nie kupiła ogórka na odjarzenie. Wracać się nie warto, kiej tyle już uszła drogi. Ani mowy o wracaniu. Jak się pospieszy, za dwie godziny będzie w domu. Odjarzy się kwaśnym mlekiem. Chyba nie wychłapią wszystkiego. Przystawać ani zatrzymywać się nigdzie nie myśli. Już i tak dużo czasu zmitrężyła.

To też zafrasowała się wielce, gdy się dowiedziała po drodze, że Wojtek Kęsik jest dużo chory, bo mu nawet księdza dziś przypawili.

— Kiej tak, nie ma rady: trza się obrócić. Krzesny ociec.

Zastanawia się, co da dzieckom, bo z miasta idąc, nie wypada wejść tak na gołe. Przypomina sobie, że przecież nie zjadła kukielki. Zatem rozdzieli — i będzie po krzyku. Jak to dobrze, że nie zjadła.

U Kęsików było jak po księdzu: posprzątane jako tako, gromnica na stole. Baby gdzieś wyszły, tylko sam Wojtek leżał w łóżku. Julia podeszła bliżej i pocałowała go w rękę.

— Cos wy se to myślicie? Taki dzień piękny, a wy się wylegujecie. Nie obrażajcie Pana Boga...

— Mojaśty, na każdego przyjdzie krysa. Na każdego.

— Nie pletlibyście... Jeszcze wydobrzejecie, bo co byście nie wydobrzezi. Po księdzu lubi się poprawić. A cos wam kiej nobardzi dolega? Cekojecies, niek wam poprawię łóżko, bo źle leżycie.

Dźwignęła chorego, podkładając poduszkę pod plecy. Poszewki były jeszcze mokre. Widocznie prane przed księdzem, nie zdołały na czas wyschnąć. Jak u Kęsików: wszystko na ostatnią godzinę.

— Bóg ci zapłać. Stokrotnie. Bo nijak nie zdolę się przewrócić z boku na bok.

— Zawołalibyście na baby... Odlezione już macie z prawe strony. Ranyściwy. Bardzo odlezione. A tyle ludzi w chałupie.

— Kējby tam wołał... Dosyć się naswarzą nade mną, nagebują.

Julia aż szarpie z oburzenia. Ładna córka, ładna babka, nie ma co mówić. Jak to się obie dobrały. Boga w sercu nie mają, czy co?

— Mojaśty, ino tak mi popraw poduszkę, aby nie poznały, że ruszane. Klełyby o pióra... że się łamają. O, nie zapomnę ci tego, żeś do mnie zażrała.

Julia jest oburzona do głębi, choć usiłuje się pohamować. Ciotka — bo ciotka, ale zpsioczyłaby ją do żywego. Na nic by nie pytała. W pole se poszły do roboty, jakby nigdy nic. Choremu księdza przypawili i na tym koniec. Ale krzesnycie też winien: poco dopuścił, że go za nic mają.

— Czy wy na to już poradzić nie umiecie? Przeciście gospodarz — wy rządzącie.

Wojtek tylko westchnął, spojrzawszy pod sufit na

święte obrazy. Co tam dziś mówić o jakim rządzeniu. Tylko kpiny z człowieka. Z jego gospodarowaniem już koniec. Może dzień jeszcze, może dwa. Dłużej — to pewnie już nie. Pytają się go, czy radzą co od niego... Coby nie radzili. Kiedyś, gdy jeszcze jako tako łaził, wybrał się sam do doktora. Odżałował. Ale szkoda tego, bo doktor nic wyraźnie nie powiedział. Coś ta zapisał, chyba tak ino od zwyku. I na tym się skończyło. Bo jak Wojtek usłyszał w aptece, że lekarstwo kosztuje siedem złotych, odrzekł się wszystkiego. Za byle co płacić taki pieniądz... Żeby się choć wiedziało, że pomoże, to jeszcze. Zresztą, co ma być, będzie. A teraz jednego się tylko boi: jakie pierwsze słowo przepędzić do Boga, gdy mu oko w oko przed Nim stanąć wypadnie? Miał się pytać księdza, ale jakoś nie chciało mu przejść przez język. Po drugie — ksiądz się gdzieś śpieszył i rozmowny nie był dziś wcale. Zrobił swoje i poszedł. Jakże się pytać? Wszystko przepadło. Wojtek został sam ze swoim kłopotem. Teraz ma ochotę zapytać się Juli, już na języku mu siedzi, ale zamiast tego — pyta się, co ta u nich porabiają. A potem długo się rozwodzi o swoich córkach. Dwie ich tylko ma, ale żadna nie lepsza. Dopóki Hela była dziewczyną, widziało się... Więc dał jej ze serca lepsze pół gruntu i pół chałupy. O, widziało się... Tymczasem teraz nawet nie zajrzy do ojca, choć ma tylko przez próg. Pogryzły się z matką o krowę w stajni. Że niby jej wyjada ze żłobu matczynej krowy. Nie gadają ze sobą. Matka podwiodła jeszcze Jądkę i już cała wojna. Wytrzymać trudno.

— Niech święci bronią...

Julia sprawiła swoje, więc zabiera się do odejścia. Posiedziała by dłużej, ale że to dziecka na opiece niemowcy, mus się śpieszyć. Przy takiej nijak chałupę zostawiać, a na lepszą dziewczkę nie stać ją. Bóg-że raczy wiedzieć, czy tam czego nie zmajchłowały. Strach pomyśleć.

Wojtek napomyka, że przydałby się w domu ktoś mądrzejszy. Choćby taki Wittek... Nie wiele by miejsca zajął, a doglądałby tego i owego.

— Szkoda, że się tak stało.

Delikatnie powiedział „tak się stało”, nie trzeba więcej. Dla Juli nawet to wystarczy. Gdzie się obróci, wszędzie kola ją tym Witkiem. Wszyscy tylko o tym pamiętają. Jakby nie mieli własnych spraw, własnych kłopotów. Czy warto się tłumaczyć? Czuje zniechęcenie do wszystkiego.

— Krzepcie się!

Zbiera się do odejścia już na serio. Jeszcze wydłubie jakieś słowa pociechy, które padają głucho i bez echa. Odpowiada jej skrzypienie łóżka.

— Idziesz już? Bożeści zapłać, żeś ta zażrała. Pozdów wszystkich w chałupie. Najprędzej już się nie ujrzymy.

Julia zatrzymuje się we drzwiach. Bo chory wygląda, jakby czegoś sobie życzył. Jakby chciał coś powiedzieć, o coś poprosić.

— Czy wam czego nie trza? Powiedźcie, pokiłam jest...

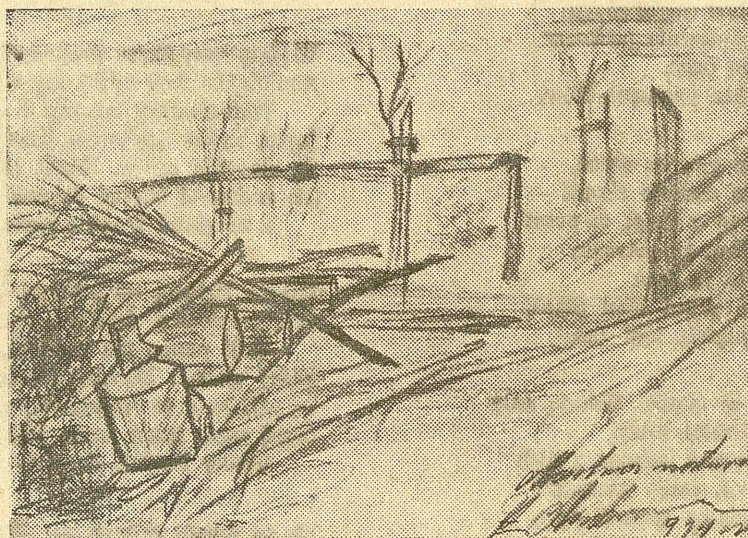
— Kējby tam cie... ale kieś taka dobra, podej mi wody. Może jest w konewce. Jeśli nie ma, nie turbuj się. Obejdę się bez wody. O, wielgi bógzapłać.

Wkrótce cisza zalega izdebkę. Martwa cisza, zakrapiana plamami południowego słońca, przemocą cisnącego się przez małe okno.

...jakie by to pierwsze słowo? To najpierwsze...

Z pytającym smutkiem patrzy na jaskrawe postacie świętych, tłumnie skupionych u sufitu. Lecz ani Kinga, patronka tej ziemi, ani nawet sama Kalwaryjska nie powiedzieć nie mogą.

Z TEKI CHŁOPSKICH RYSOWNIKÓW



PODWÓRZE rys. Z. Ambroziewicz

PIOTR ZIARNIK

Ś W I T

W pewnym momencie, którego nie odróżnia żadne oko w rzece chwil chybliwych, bledną gwiazdy. — W kontemplacji nocy skłania się pierwsze oddalenie, gdy w te chwile niepokoju, jak w ramiona wsunięty myślałem, że czerni nocy jest powolnym oślepieniem. — I lękałem się, czy naprawdę nie jestem ślepcem, i czy wypłynę z tej głębin cieniów. Ostatkiem sił broniłem w sobie przekonania że noc nie jest nadmiarem, a tylko brakiem, pustynią, bo znów zamknęły się ściany mętniejące w coraz głębsze nasycenie.

Topole, stojące wysokim, prawie czarnym, murem przy naszym rowie, gdzieś u wierchołków trzepotały niespokojnie, a ja nie widziałem żadnego ruchu. Tylko ściany domu u sąsiada stawały się coraz bledsze pod czapą strzech.

Czasem parsknął koń.

Z tej ciszy murawa wysunęła się fioletową zjawą i chmury powolne przybliżyły do ziemi. Cienie drzew otrzymały wtedy kontury — kurcząc wokół pionowej osi pnia rozległość nocy, jak w sieć.

Pamięć nadała powstawianym w widzenie przedmiotom kolory, bo oczy ich nie widziały jeszcze. Na kolumnach topoli objawiły się u wierchołków plasty światła, które nie były zielone lecz białe. A bardzo cichy, zwinnny ogrodnik posadził w oknach anemiczne róże od tej strony, gdzie w połowie skłonu już teraz wyraźnych obłoków rozartł ktoś nieokreślony stop barw, z przewagą jasno-żółtej.

Tak obudziły się tego rana pierwsze barwy i świat stał się nagle szarym kłosem, nasyconym pomarańczowym i seledynowym jaśnieniem.

Wynurzały się zwolna płynącą procesją, podchodziły do oczu już tylko zdumionych i skwitały o rumieniejącą intensywność, z za której wyplatał się u samego wierchołka zwycięski błękit.

Oczy nie widziały czasu, nakładającego zmiany wygłódów na krótką postrzeganą istność, abyśmy uznali trwanie i ruch.

Fanfara czerwieni załata cały obraz, nim obudzone kształty odpoznały się wzajemnie i uświadomiły swe barwy.

Dopiero teraz usłyszałem kułający w kartę szkarłatnej ciszy świergot wróbli. Całe ich stado fantastycznie umalowane czerwienią obsiadły wrota stodoly i brzeg dachu, rzucający na ścianę wąską taśmę twardego cienia.

Kogut wyprężony na płocie zapiał przeraźliwy hejnał dnia, urwany na najwyższym tonie harkotliwym bulgotem.

Wzeszło słońce.

Z TEKI WIEJSKICH RYSOWNIKÓW



ŁAZNIA CHŁOPSKA

rys. St. Surdacki

EDWARD MARZEC

Nim się dzień zacznie...

Chałupa stała nieruchomo. Wiatr nią nie mია, deszcz nie mył okien. Jesienna cichość trwa nade dniem w obejściu gospodarskim. Z uchyłonej sieni wyskakują krótkie jęki. Mgła pierza opada na sąsiek. Oplata beczkę z ziarnem. Usiada na prasce od sera. Sciele się iglasty śnieg z wiotkich prątków. Kobieta rozparła się na stołku zasadnie do siwego niedźwiedzia udana. Skubie. Na podółku trzyma gęsi kształt, lecz dla temu nie widać, bo kolana ściskają gardziel. Dopiero koło obcasa czerwony dziób pisze po ziemi bolesnym gęgotem.

Gheńń! Kłęb puchu pęcznieje na przetaku.

Gheńń! Gheńń! Wydziera grube pióra ze skrzydeł.

Kobiecie jest żal ptaka. Dopiero był bielutki i kształtny, a oto golizna, jeno gardziej zachowała miękko pokarbowaną białość. Ani to formy, ani radości nie odzyska prędko. Gąski. Łabędziaki. Myśli i myśli. Radaby puścić napoczętą. Ale ręka bo-bruje niestrudzenie po podskrzydłu i targa. Nogi same zwierają się mocniej ilekroć pacjent bardziej porywczy. Praca wykonuje się jakby sama i bez zgody kobiety. Gheńń! Gheńń! Gheńń! Gheńń! Szarpie się zapamiętałe druciana struna w starych skrzypcach.

Pokraka z sieni wypada chwiejnie, ni to gęś, ni to co. Zachwiera lotkami, sprawdzając ich obecność, mordernie okradzionym ogonem i gęgnie w podwórko. Kobieta opuszcza ręce po sobie i przez mgłę, przez drzwi lituje się serdecznie. Biedne — powiada. — Obdarłam cię. Alalacha do tamtych. Nie poznają? — pyta — bo gąska ukośnie spojrzała za siebie. — Poznają. Poznają. Tak samo wypierzone.

Władeek! Przynieśtaaa!

Nowy delikwent wierzga nogami i skrzydłami na podółku. Gheńga. Rozkładając dziób na podobieństwo nożyczek rypie i łupie ziemię pod stołkiem. Gotowa. Idź. Idź. Gęś raptownie stacza się z kolan, chlustając po sieni swoimi sposobem. Tfu. Zaraza. Pożałowałabym cię była, stworzenie pas-kudne. Władeek!

Wiece, mama?

Noo?

Cięzka.

Zostawi się ją na nioskę. Nie kręć tym kuprem zawiele. Nioską będziesz, ale oskubać się trzeba. Zostawie dwie i gąsiora. Gąsiora do nich. Miałabym chodzić po prośbie do kumosek? Może się niosą wasze, kumosiu? Niosą się, a ino. Ile kurzych jakiek? Trzy? Ojej. Mątne aby będą? Mątne — odpowiada tamta — przecie z gąsiorem pływają po wodzie. Tak. Nigdzie takich mątnych nie dostaniecie, kumosko. Popatrzcie zaś, jakie urodne. Kobieta patrzy. Urodne? Jak gęsi. I moje nie gorsze. Eee, wasze wody nie znają. Niechta nie znają — myśli kobieta upierzona. Mech ponatykał jej brwi i wystające z pod chustki włosy. Chusta się mech po rękawach. Sweter bardzo trzyma mech. Prawa ręka wędruje bezmyślnie po płasich żebrach i skubie całą garścią. Zajdzie do skrzydeł, skrzypnie chrzęszczącym bukietem pierza.

Gheńń! Gheńń! Posłusznie się poddaje kandydatka na nioskę. Gheńń! — czerwone nożyczki skrzypią po cholewie.

Chłop tymczasem wyszedł na świat. Kobyła się tłucze, a krowy stękają niedbale. Od pagórka pędzi Burek uroszony z całej nocy. Gdzieś, ty, lata! Kiwa na to ocieżałym ogonem. Ślepkami wierci w oczach gospodarza. Uwaga, cię prawie, rozpustniku. Na to Burek wbił ślepkę w ziemię. Z sieni dolatują nierówne jęki, więc fuknął badawczo w tamtą stronę. Skubią — pomyślał. — A chłop zapomniał o włóczędzie przeszedł dwukrotnie podwórko od stodoły do chlewa i trochę gadzinie za drabinę wrzuciwszy, człapie ku studni. Widoczny jest stąd sad i łąka, z boku podchodzą chałupy sąsiedzkie, które w tej, niedojrzałej poświacie wydają mu się grubawe i mokre. Strzechy dostatnio nakrywały ściany, tylko u Sobka ostatnie od dołu łąty nie zostaną chyba nigdy poszyte. Płot mi się nie udał — stwierdza mimochodem, co już tyle razy sobie obwieścił. Sliwinki, ano, deszcz omył z wapna. Tak. W tym zakręcie pasowałoby wsadzić parę drzewek. Ale, ale. Oskubała biedactwa, takie to ścierpłe i zęzone. Przyleciałeś Burek? Pewny był, żeś w budzie — powiada, nie wydając z siebie głosu i zawraca w stronę podwórka. Butami garnąc liście, obmacał wzrokiem, nawet głowy nie podnosząc, potrącając dachówki na przystawce i dokładnie zatrzymał się na obrypanej facjacie stajni. Lecz i to nie było przecież żadną nowością. Przepatrując to i tamto utknął oczyma na ułamanej lasie. — A tak, zawadziłem wtedy wozem. — Dalej już nie było podwórka, jeno droga wspinała się krzywawo na górkę, jakby z trudem, podtrzymując swój zółty tor obok wysokiej miedzy. Tam też chłop powoli wgramolił oczy niemyte, ale głowę nieco unosząc. Tak stał zaszuchany w poranny czas. Dzień jasnie-

je i skądś wiatr podłeci niewielki. Akacje upuszczają mokre listki, jesień przecież. Zdało mu się, jakoby głowę opatuloną dzurawią chałasił, pewnie gąsior, a z domu nadbiegał nieuzgodniony chór. Ze jednak kobiety nie chce gniewać przetwieraniem się, zatem od drzwi stroni.

Dzieci się pobudziły — stwierdza kobieta, szarpiając kłęby puchu. — Tadziu stoi na przyławkę i terpie zamasyście poręcz. Na chwilę przerwał i wygrzebuje fuksyjki z doniczki. Róża zamiata. Kurz się wzbija do powały, a Zosia czyta. Wiadomo, że się skubaniem rozbudziły. Powyższyły z betów w koszulinach i naraz wrzask.

Chłopiec uzbrojony w dwie szczotki przewala się na progu, a Róża w krzyk. Czego — myśli kobieta — uderzył ją, upadając. Beksa z tej dziewczyny jakaś. Zosia zamiast podnieść, odbiera młodszym zabawki i wrzask powstaje nieopisany. Maaamaa! Bo mnie bilijee! Rany boskie. Łby sobie pourywiają.

Przestaje myśleć o dzieciach. Trzynastą gęś przydźwigał najstarszy dżubinosek. Gąsior, to pewne. Na wygiętym dumnie karku obracał łebkiem w prawo, w lewo niezwykły. Wydziera skrzydłiska spod łokci chłopca i krzykliwie roztrąca powietrze.

Namcież! — powiada spocany pomocnik.

Nie miejcie nad nim litości. Stłamszony między kolanami łeb wydziera nieustannie się przewalając z boku na bok. Wyzwoliwszy skrzydła rozmiata na skubane pierze po sieni. Zachłastał zapaskę i jęczy, jakby był conajmniej grubym zwierzem. Rozwścieczony dziób kotłuje nad ziemią, aż wbije się za cholewę, by szczytać i gryźć.

Maamaaa! — dolatuje potrójny bek z izby.

Chłop stanął w progu. Gheń! Gheń! Jakiś, cholera, awanturny — rzecze uśmiechnięty.

Gheń! Gheń! Mocny — odparła z za mgły. — Idźcie do dzieci, bo nam zwariowały. Więc poszedł. Cóż on tam z nimi wyprawia? myśli, a ptaka dzierży mocno. Na chwilę ucichło i większy jeszcze bek cieniutki miesza się z rozpaczliwym gęgotem. Chłop zawinął pasem z ogromnym impetem na podobieństwo człowieka, który naciera na liczniejszego wroga. Do mycia! Do paciorka; brudasy;

Nic on serca dla maleństwa nie ma — pomyślała smutnie.

Gąsior pozbawszy pierza, wybiega przychyłony na pole. Jak ładujący anioł, skrzydła szeroko rozłożył i drepząc tyka dziobem ubożego trawnika. Poczem wygiąwszy karbowany kark stąpa wzruszony i zdaje się otrzasać z przeżytego bólu.

Kobieta woła Władka przez jasne drzwi. Odbiera i wypuszcza gęś po gęsi. Kolana drętwią, ręce przelatują niezmiennie od kosa do podbrzusza, od worka do pleców i skrzydeł. Może już gęsi nie krzyczą? Kobieta nie wie o tym. Co trzy sekundy czyjś palec prztyka w uszy to mocniej, to lżej. Władek donosi ostatnie pewnie. Jest prawie cicho. Izby nie słychać. Przed oczyma migają niesforne skrzydła i faluje pierzasta zamieć. Sprzedam je wszystkie piętnaście. Zosi się sprawi sweterek. Książkę by czas dziecku kupić, bo się wstydzi przy drugich, co wszystko mają do nauki. Trzy pary butów. Płaszcz by się zdał szkolnicy. Gąski się oplacą napewno niegorzej. W toku rozmyślań Burek przeszedł koło sieni. Oceniał ilość pierza i pobieg beztrudnie zrosił obłupany winkiel. Trzy kury melancholijnie powiodły czerwonym spojrzeniem po pagórku z pierza i dziobią ścianę.

Coraz bielsze rano. Kobiecie wraca pomatu słuch. Otrząsa się. Przetacza lekutki wór, potem kosze przepętnione pianą i przetak do komory. Wyszedłszy przed próg zdejmując z siebie zmęczenie. Z chustki sfruwają stada najlżejszych włosków śnieżnych. Już i rodzina wyroliła się na podwórko.

Oskubałaś — mówi chłop.

Tak.

Zrób jakieś śniadanie, pojedę do miasta.

Aleście mama, upierzeni!

Upierzonom. Władek gdzieś zginął, przynieś, Zosi patyków, ino suchych.

Dziecko idzie pod stodołę. Za płotem oskubaneście gęsi. Stoją na jednej nodze — pomyślała spokojnie. — Wracając z naręczkiem drew, nie spojrzysz poza siebie. Tuli mocno suche patyki do piersi, wierzchnie przytrzymując bródką. Wtedy gęsi dostają piór. Z nędznej kępki, jaka stała na jednej nodze rozleciały się w półkole i sycząc przed siebie, nacierają. Szereg ceglanych dziobów rozwiera się jednocześnie. Zosia widzi, znanie jej drobne zębki po brzegach. Stopy, jak liście klonu kłapią pośpiesznie, poderwana zagnęła piana sunie i jest blisko. Uniesione skrzydła wzdęły fale, syk ustał, a stado krzyknęło ze wszystkich sił, zwycięsko gęgając. Dziewczynka zatrzasnęła raptownie drzwi chociaż się jej tylko zwidziało.

STANISŁAW PIĘTAK

ZWYKŁA HISTORIA

(Powiastka)

Ojcu poświęcam, który historię o Sale, gdy się rozbawił, jakże pięknie opowiadał.

I.

— A popędzaj-że, gapiu jeden konie! wołał siedzący na wozie księżyna. Do chorego jechał hen na ustronie i smutna była, błada jego mina. A tymczasem kurz bił w upale, a tymczasem konie więzły po grzywy w świetle przesłaniającym i oddale — wieś drgała tu łukiem siwej cięciwy... Choćby zaś i klaszcząca wodą rzeczka. Dzieci w niebieski pył skakały z brzegu. Pannie jednej została by ucieczka, ale zbryzgano ją całą w rozbiegu!.. Padła więc i ona, runęła w wodę. Po chwili zaś już słońce z niej się śmiało, że włosy ona ma zdobne w urodę, a pierś jeszcze taką szczupłą, małą!...

Zgorszony ksiądz odwrócił zaraz głowę, ale przy płocie w kurzu, jak o rękę jakąś babę przybraną w szaty nowe szczypał dziad, co miał siwutką już szczękę. — Ach, a to się pali, Piotrze, za rzeką? — szepnął księżyna i zbliżył się. — Hę? hę? — mruknął woźnica. — To tam siekają. Nie widzą, dobrodzieju — baby się zgrzały!..

II.

Jechali już dalej sobie w milczeniu. Ksiądz drzemał i myślał gorzko o babinie, którą minął. Wolno, wolno w słońca lśnieniu konie stanęły naraz na równinie... Ksiądz skoczył. Przy domu białym w ogrodzie rosły konopie, len i słoneczniki. Skobel tkwił — nie było człeka w zagrodzie... Ksiądz wzrok stał się nagle z gniewu dziki! Już miał odejść, ale ciche wołanie zatrzymało go tak jeszcze przy płocie. — Dobrodzieju, wielkie podziękowanie — wołał chłop i zganiał prosięta w błocie. — A gdzie chory, u diabła, gdzie jest chory? — krzyknął ksiądz — Cóż, prosiłście mię na kpiny?... Dziadyga pędził trzodę do obory ciągle jeszcze i uśmiech miał dziecinny. — To ja jestem. — Chciałem się wypowiedać. Ano śmierć już ta stoi za plecami. No, gdzie? — W polu, czy w domu będziem gadać? Wszyscy z chaty poszli, wiązą z żeńcami..

Szedł już ksiądz objąć kornie za kolana, ale ksiądz naraz, jak na wóz nie skoczy! — Och, pocilem się dla ciebie od rana! — ryknął. — Precz, niech cię już nie widzą oczy!.. Dziadyga wyciągał tam chude dłonie, ale ksiądz wciąż sądząc, że to na śmiechy — w galop, w kurz puścił swoje zgrzane konie i precz ku wsi odjechał w trzy oddechy!...

III.

Już teraz, powracając, zły był strasznie i babę, co igrała wciąż pod płotem, zwymyślał, o, gwałtownie i rubasznie — jeszcze z dali groził jej ręką potem. Przepłoszył i dzieci nagie nad rzeką, dziewczynę spłononą w cień. Wygnął w krzaki. Widząc zaś, jako ludzie już nie siekają, na piersi wzdłuż uczynił krzyża znaki. Nic innego bowiem nie chciał, a tylko wymoczyć z kurzu, z żaru spuchłe nogi. Jakoż zrobił to i wnet z małą chwilką pod wierzbą starą zasnął w cieniu drogi!..

IV.

Na odwieczersz się miało, gdy dopiero przed plebanią na placu stanął końmi. Wyspany, z woźnicy śmiał się — magiera nazywając go i spychając dłońmi. Szedł już, kroczył szeroko, ale naraz drogę mu zaszedł chłopiec suchy, bosy, splakany przy tym też, całkiem, jak mara — jeżyły mu się z czoła czarne włosy.

— A cóż — zawołał ksiądz — powiesz, mój mały? — Ach! — zaszlochał ten — trzeba poświęcić ciało. I ile to będą msze kosztowały? Matka nasi chcą — no zapłacić całość!

— Ale kto to umarł? — rzekł ksiądz — Mów-że jasno.

— Kto? zdumiał się chłopiec. — Sala. Tam-ście byli! Ksiądz nic nie odparł, tylko łaską trzasnął i w zdumieniu długo patrzył w tej chwili!..

JANINA SOBIESZEK

EWKA i TERESA

FRAGMENT Z POWIEŚCI: „NA PSA UROK”

Tereska Klimieczanka była tej zimy nieszczęśliwa.
— Nie chuchaj cięgiem na szyby, chorobę wychuchasz. Okno chcesz wybić? Nie biegaj po dworze. Łeb rozłupiesz na ślizgawce, trepy zedrzesz. Nie plątaj się tu wedle garnków, bo ci łeb oparzę. Do miski się nie pchaj, starszym pierwszeństwo, bo pracują. O, ratunek, wszystkim na zawadzie stoję, wszyscy me ino chcą zjeść! — broniła się zawzięcie.

— Jak przetrzymam ten rok, tę zimę, to już będę w niebie — oświadczyła głośno, gdy ją do darcia pierzy zasadzili z Jackiem.

Nie daj Boże z tymi pierzami. Ani się ruszyć, ani co. Nie dmuchnij nawet, bo bieda. Zasię, gdy nie ruszać, nie dmuchać — wiadomo: śpiak ogarnia. Nogi drętwieją od siedzenia, palce od skubania, człowiek się robi, jak ta odarta szypuła. Nie daj Boże.

— Przyjdzie lato, za bydlęm pójdiesz. Posmakujesz lepszego — straszyla Zośka.

— Się nie boję. Bydło poćwie.

— Jakie?

— Poćwię. Pierze na nim nie rośnie — wyjaśniła z westchnieniem.

Jacek na nią mrugnął.

— Przykrzy ci się? Poczekaj, jutro, jeśli mróz ściśnie, pojedziemy na Kraków.

— Jedźmy bez mrozu, Jacek! Zaraz!

— Głupiaś. Bez mrozu nie pojedzie.

Mróz ściśnął dopiero trzeciego dnia.

— Chcesz sama jechać?

— Sama? nie trafię...

— Jak nie trafisz, to nie jedź. To Kraków do ciebie przyjedzie.

Klasnęła w ręce.

— Zrób tak!

— Zrobie, ale ty mi musisz pomóc. Nabierz śniegu w obie garście, o tak. Trzymaj mocno. Widzisz te drzwi? Tędy Kraków się objawi. Ino przyłóż język do klamki, jak długi...

Przyłożyła, jak długi. Nawet nie było wcale trudno z oderwaniem. Skóra sama odlazła, zostając na klamce białym, lodowym płatem. Jacek stał wystraszony niemniej niż Tereska sama, i pierwszej jeszcze w ryk uderzył, nim matka w jego skórę. Tereska zaś beczała przez to głównie, że nie zobaczyła Krakowa.

Wreszcie zima poszła sobie, ustępując miejsca wiosennym roztopom. Wezbrał potok jak jaka prawdziwa rzeka. Tereska namówiła Jacka. Tą rzeką w starej balii pojadą do Bzury, a Bzurą do Krakowa. Tylko trza jechać samym środkiem, gdzie najbystrzejszy nurt. Ale Jacek był smerda, nurtu się zląkł, a poza tym balia się przewróciła. Ktoś tam widział, czy słyszał, boć Jacek gwałtu narobił, zanim co. Więc dzieci wróciły do dom, jedno pod jedną, drugie pod drugą pachą przez chłopca przyniesione, i jeszcze domacano się w nich życia. Ale balia do Krakowa dojechała sama.

Gdy zaś wiosna przyszła na dobre, a łąki i pastwiska zazłociły się od kaczek, upadło twierdzenie Tereski, że bydlę jest poćwię. Odkąd pędzić je wzięła codziennie na gromadzkie pastwisko, okazało się, że nie ma dość grubego kija na tę poćwięć.

— A żeby cię sprzedali. Żeby cię złodziej ukradł! — płakała, goniąc zdyszana za krową, za tą przebrzydłą, docna znarowioną, co iść jak drugie nie chciała, jeno nurkowała w pozapłocia, w ogrody i sady, po krzakach i grzędach, szkodę robiąc i szum. Wylatywały gospodynie z gębą na paskudziarę taką, co krowy gnać nie umie, paskudziara zaś przysięgała się, że aż do śmierci nie daruje. Krowie, czy gębom? Wszystko jedno.

Zostawiała resztę krów na drodze i biegła za tą jedną, ugąwszy spódnicy, firtając się i przewracając po grzędach.

— Niech ją aby do obory, na łańcuch... niech ją aby... to już ji sprawię takie manto jelito, że...

Z chwilą jednak, gdy krowa dopadała obory, Tereska zapomniała o mancie. Zziajana przysiadła na kamieniu, czekając na resztę krów, co same do wrót skręcały. Pokazywało się wtedy, że chustkę z głowy zgubiła. Leciła więc szukać, bo jakże z gołym łbem. Leciła szczęśliwa, bo do następnej, popołudniowej goritwy był jeszcze dobry półtoragodziniek. A po tym aż do wieczora.

Czasem udawało się Teresce przyłączyć swe krowy do Waskowych. Wtedy był spokój. Wasko, od dwu lat pasterz gromadzką, choć był głupi, z bydlęm sobie radzić umiał. Nie tyle on poprawdę, co jego pies. A Wasko był mowny taki. Całą długą drogę z pastwiska, najpierw przez bór, potem przez łąki, potem przez pola i wieś całą, nie zamykała mu się gęba. Różności prawil. Albo i śpiewał. Czasem nawet tańcował z kijem swoim po piasku, wtedy mianowicie, gdy był głodny. Dostawał za to kawałki chleba, a na chleb zawsze łasy był.

— Kartofle — mawiał — to chłopcy. A chleb to

biskup. Napcha się chłopów do kościoła, że już ani jeden więcej nie zdoli — tak pełno. A niech się biskup pojawi — to co? Przez cały kościół drogę mu dadzą, ho, ho, jaką szeroką!

Różności różne prawil Wasko, na pastwisku rządzący się jak król.

Głupi Wasko królował więc dalej na Stawach. Tereska uganiała od świtu za narowistym bydlakiem. Nie znaczy to, że do roboty nic więcej nie miała. Roboty wszędzie dość. Gęsi paść musi, kto chce spać pod pierzyną. Próbowala Tereska i bez niej, no, la-tem to fracha. Ale zimą... Trza było umykać na łóżco do matki. A po tym, już bez ryku, gęsi paść.

Gęsiarstwo nie jest znowu straszne, jeśli się już nabrało wprawy. Tyle, co gęsior czasem oskubie, albo skrzydłem nakryje w rozmachu. Zresztą można se robić, co wola, taplać w potoku razem z gęmi, leżeć, siedzieć, kozły stroić, z całym światem gadać. Albo przypominać, jak się Jacek uczył z książki. O takim jednym, co go car powiesił, Romunaldzie. Niech mu ta Pan Jezus da zdrowie.

Zdarzały się i rozrywki w tym gęsim uprzykrzeniu. Gdy naprzykład gęś głupia okulać się dała. Wtedy mogło być łanie.

To znowu z żyta, wzdłuż którego biegła po mie-dzy, wyskoczył pies. Pies jak to pies — miał tam swoje psie sprawy kędyś i te mu były najpilniejsze. Ale widząc Tereskę w pędzie, z patykiem w ręku, najeżył się i z zębami do niej, złych zamiarów od-uczyć. Tereska go łaps za uszy. Ściągnęła mu pysk do góry, aż psu oczy na wierzch wylazły i tymcza-sem dopiero w krzyk. Za żytem były kartofle, które Jagustyn obrędląc kończył. Uwolnił Tereskę, a właściwie psa, całe zaskoczonego i pokornego. On zemknął, ogon podtuliwszy, ona zaś w bek uderzyła spóź-niony.

— Ugryzł cię?

— Chciał, ino nie zdążył.

— To czegoś becysz. — Głasnął ją po warko-czyku ręką, która była dziwnie chuda.

— Jagustyn jest dobry. Psu me nie dał, jeszcze pogłaskał — mówiła po tym Tereska Ewce.

— On je chory.

— Na co?

— Na biedę. Brzuch go boli, ale żeby bogaty był, toby się wylekował. A on nie ma co jeść. Babka tak mówi.

— To umrze?

— Musi umrzeć. Jak mój tatulo w niewoli.

— To Jagustynka będzie płakać!

— Phi. Ożeni się z drugim, jak moja matuś...

Ewka już była mądra taka, jak duża. A Jagustyn był chory naprawdę. Łaził, póki mógł, nogami powłócząc. A w same żniwa położył się i umarł.

Pochówek to miał Jagustyn godny. Ze światłem, z dzwonieniem, z przemową. Była na nim i panna Koleta, i Ładacki Adam, znaczy się pan Ładacki, nauczyciel nowy z Szewce. A ksiądz Stefan, pocziwo-ści dusza, mało co wziął za on pochówek.

Tereski, rozumie się, na pogrzebie nie potrzebo-wali. Ktoby gęsi paść? Wylazła na most, na burtę i patrzyła zazdrośnie, jak za trumną szły wszystkie małe Jagustyniaki. Ten najmniejszy zasię jechał na wozie obok trumny ojca, wielce tym honorem zadzi-wiony.

Gdy orszak ją minął, pobiegła do Ewki.

— Wiesz co? Szkoda Jagustyna. Śpiewają mu, bo był dobry. I my mu zaśpiewajmy.

— A jak?

— Jak niebądź. Ino grubo. Ucz się:

„Jagustyn — Ro-mu-nald,

niech wam Bóg zdrowie da...”

Śpiewały wkółko przeciągłymi głosy, jako należy na pogrzebie. Nie zauważyły, że Teofila, w pole idą-ca, zmierza ku nim. Chwyciła Ewkę za ramię.

— A wy smarki, zamknięta dzioby? Grzech i ob-raza boska, nieboszczyka nie uszanować. Teres, do swo-ich gęsi!

Tereska buchnęła w krzaki. Dopiero, gdy Teofila była już daleko, odważyła się wytknąć nos.

JAN BARANOWICZ

WIEŚ

Królicze śnieżne futra angor
uśmiechają się do mnie z kojca.
Kwkanie kaczek, gęsi klangor
nad polem mojego ojca.

Sośniane szczapy w sągach. Muszki.
Dziurawiec schnie pod mszawym płotem.
Przed sienią jabłka i gruszki,
syropem słoneczniej złotym.

Przydrożny krzyż. Jarzębin freski.
Sroka psu w budę płotkę skrzeczy,
Wszystko zwyczajne. A ty tęsknisz
i już się z tego nie wyleczysz.

— Zbili cię, Ewka?

— Ej, nie. Aby w kark trzepi.

— Widzisz. Coś ty narobiła, coś ty narobiła.

Grzech i obraza.

Ewka spojrzała okrągłymi oczami

— Moroziak ci gęsi goni. Leć!

Teres obejrzała się i popędziła co tchu...

— Moroziak! te, psinarodzie... Odyńdziesz?

Dała nurka w gęstwę naci kartoflanej, spędzając rozpierzchłe stado. Niełatwo to szło, bo skołowaciale ptaki łopotały we wszystkie strony, aże Moroziak pe-kał ze śmiechu. Usiadła w bruzdzie, zdyszana, i po-kazała mu język, ale tak, żeby nie widział. Złego psa nie drażnij, bo ugryzie.

Ewka tymczasem zebrała do wora chwast przezię-zerwany i podygowała go do domu, to jest do chle-wa, prosiakom na drugie śniadanie. Okrutnie żarte te prosiaczyska, zgoła nienazarte. Dygij, noś i jakby w piekło ciskaj. Cięgiem mało. A tatulo mamrze, że prosiaki chude. O Jezusinku, ile to termedy na tej biednej, dziecińskiej łepetynie.

— Babko, o, babko, dejcie się zdrzymnąć ździebko...

— Dziecek musisz przypilnować. Mnie do Ko-buski wołali, duchem idę.

— Wedle czego?

— Nie twoja sprawa. Kartofli obierz, na obiad, masło ubij, statki pozmywaj. Wróć, duchem się uwa-rzy. Poniesiesz ojcu w pole.

— O, jej co roboty.

— Takie to i życie, moje dziecko. Robota do śmierci, a odpoczynek na tamtym świecie. Takie to i życie. Chowają jednego, drugi się rodzi. Jedenaste z rzędu. Chwat baba...

— Kto, babko? Kobuska?

— Dzieci pilnuj! Już idę.

Ewka ubijała masło, stojąc na małym stołeczku przy kierzance, która była dla niej za duża. Stole-czek jest fajny, przez Kacpra zrobiony, te... przez no-wego tatula. Co tam stołeczek. Tatulo cały dom znaj-strować umie. Kto postawił ten nowy dom u Żuka? Michał z tatulem. Tomek Matyszek zerznął drzewo, Michał bale ciosał i do bofu jeździł, a tatulo post-wił dom, zatknął na krokwi wiechę zieloną, tera de-szk hebluje na podłogi, na drzwi, na wszystko. Do je-sieni dom będzie gotów — tak uradzili z Michałem. I Michał powiedział wtedy: Kacprze, a jak będzie fertig, to taką knajpę odwalimy, że to ha...

Niebardzo Ewka wiedziała, co to za knajpa taka, jeszcze dopótąd nieodwalona. Cudaczne słowo. Ale bo to jedno ino? Tyle ich, co chabru w życie.

Zbachyla sobie Ewka, jak Wasko na pastwisku wy-dziwiał w niedzielę:

— Wlizesz tam, gdzie nie trza — mówią ci, raj-za, raus! forwek! A przódzi mówili ino: wont i tyle. Albo dziewuchy. Przódzi żadna nie była fajniejsza od drugiej, ino śwarniejsza. A tera są same fajne, jeśli nie felerne.

Dzieci słuchały, co Wasko gadał, rozłupując cju-chnięte w niewiadku czym sadzie zielone jeszcze ple-banki. Rozdzielały łupki między siebie, mówiąc:

— To dla majne, to dla twajne.

Ale gruszki były niedobre i twarde, więc dzieci praskały je wreszcie o ziemi.

— Sjaśsa.

— A potym duża Felka odciągnęła Ewkę na ubocz.

— Wiesz nowinę? Ale to taką nowinę...

— Jaką?

— U Żukówny Kasi będzie małe klajne — szep-nęła Felka, z orzekrzywionym na bakier uśmiechem.

— Rozumiesz?

Ewka udała, że rozumie. Ale niebardzo rozumiała. Spytała się po tym babki, ale babka burknęła tylko: głupiaś...

— Głupiam?

— O jej, babka dzieci pilnować kazali! Obejrza-ła się, gdzie też spały. Masło już było ubite. Korciło ją, by spróbować maślanki i liźnąć masła, ale nie po-radziła zdjąć wierzchu. Tarmosiła się z nim, spot-niała z wysiłku, gdy ktoś zarumotał w zamknięte drzwi. Zabiło Ewkę ze strachu serce, nacisnęła pręd-ko wierzch, by znaku nie było. Ale to tylko Antka rumotała.

— Niema babki?

— Niema. Poszli do Kobusów.

— Maszci kolkó. — Antka chwyciła się za głowę.

— Że też akuratnie w tę porę. Dobry rok.

— A bo co?

— Jak przyjdą babka, powiedz, że Kasia zastąpi!

— I Antka wybiegła pośpiesznie.

Ewka zamknęła za nią drzwi, potym przyłożyła pięść do nosa, co zwykła czynić tylko w chwili głę-bokiego namysłu.

— Aha — powiedziała wreszcie.

„Aha”, to bardzo małe słowo. Ale mówić je moż-na na wiele, bardzo wiele sposobów.

STANISŁAW PIĘTAK

WIEJSCY CZYTELNICY

I.

Ferdynand Kuraś pisze w swoim pamiętniku, że po wielu nieszczęściach, kiedy wrócił do Wielowsi, by się w niej osiedlić z powrotem (tym razem jako komornik) udał się dla załatwienia swojej sprawy do kancelarii gminnej i tam zastał taką oto sytuację.

Izba była pełna dymu, chłopci pokładali się i płakali ze śmiechu, za stołem tymczasem siedział wójt, Andrzej Piętaś (mój dziadek) i czytał na głos uciętą historię Sienkiewicza o państwie Zagłobie... Którego rok mógł być? Dziadek mój umarł nagle w dość młodym wieku w r. 1898-ym, wójtował zaś w Wielowsi od początku ostatniej dekady. Najpewniej historia owa mogła się przydarzyć gdzieś około 1893-go czy 1895-go r.

Jakże więc szybko „Trylogia” zawędrowała pod strzechy! Dziesięć lat niemal nie upłynęło od ukazania się książki, a już znalazła się ona w wiejskiej chacie. Co więcej przyjęta została tam z niesłychanym entuzjazmem, choć wspinały, szlachetki narrator nie pisał wcale o chłopach i ich sprawach, choć nie dostrzegał wcale krzywdy człowieka pańszczyźnianego w czasach, które przedstawiał.

Chłop zawsze garnął się do książki zabawowej (określenie Szarka), — stąd takie wzięcie na wsi romansu, zresztą nie tyle romansu historycznego, co brukowego, zeszytowego. Czytelnicy wiejscy rekrutują się przeważnie z dziewcząt i chłopców, a i niekiedy z ludzi starszych. Na samym dole odbiorców literatury tkwi grupa, która czyta tylko dla odpustu, dla zaspokojenia dewocyjnych uczuć. Czyta więc pisemka i książki nabożne. Następnie idzie kolej na konsumentów romansu brukowego i zeszytowego, uważanego w tamtym środowisku za szczyt piękna literackiego.

Wymienić należy tu takie osławione romanse, jak „Błada hrabina”, „Klimczak”, „Na ołtarzu miłości” itd. Ukrólowaniem rodzaju literackiego jest „Trędowata” i inne powieści Heleny Mniszkówny, która tyle wzruszeń i łez wycisnęła z oczu prosiadczków nie orientujących się w wartościach sztuki, a poszukujących emocji tabuły, miłosnych powikłań najnieprawdopodobniejszych.

Jeśli pierwszą grupę czytelników wiejskich nie można uważać za odbiorców literatury pięknej, bo oni czytają po to, by zasłużyć na niebo, to następnych należy uznać za takich bezwzględnie. Oni bowiem sięgną i po Rodziewiczównę, po Sienkiewicza, Reymonta, Żeromskiego, a nawet i po Dostojewskiego i wzruszą się ich dziełami, jak to miałem możliwość stwierdzić w r. 1939-ym podczas powrotu do Wielowsi z tułaczki wrześniowej.

Wracałem z kolegami i na nocleg trafiłem do pewnej wioski polskiej koło Sądowej Wiszni. Właściwie do izdebki, rozglądałem się, patrzyłem, na stole leżała „Bracia Karamazowie”.

Byłem tak uderzony dziwnym spotkaniem z tą książką, zresztą w depresji duchowej spragniony przeczytania choć kilku zdań, które by mnie wspomogły w rozterkach, że otworzyłem książkę na chybił trafił i począłem wmyślać się w historię powieści, która kiedyś wywarła na mnie olbrzymie wrażenie.

Czytam, czytam i nie zauważyłem, że w międzyczasie stanęła przede mną dziewczyna może piętnastoletnia, mieszkanka chaty i utkwiała we mnie oczy, jak urzeczona.

— Co ta książka robi u was w domu? — spytałem, ujrawszy moją sąsiadkę.

— Czytamy ją.

— A ty ją też czytałaś?

— Tak.

— Podobają ci się?

— To bardzo piękne, strasznie piękne — odpowiedziała tak zastanawiająco poważnym głosem, że wzruszyło mnie to niesłychanie — i do dziś nozę pamięć tego wzruszenia.

Czytelnicy owego rodzaju, o którym piszę, zapracowani, otoczeni monotonią życia, biedą, nawet nędzą, poszukują w książkach przede wszystkim sensacji fabularnej, uroku dziwnej przygody, blasków innego życia. Nie trzeba dodawać, że pochłaniają oni stronice z wypiekami wzruszenia i utożsamiają się z bohaterami.

Dziewczęta z tego kręgu odbiorców będą czytać przeważnie historie miłosne, chłopcy i te, ale głównie jednak powieści historyczne i awanturnicze Verne’a, Dumasa, Sienkiewicza, Wiktora Hugo itd.

Przejdźmy do trzeciej grupy czytelników wiejskich. Tu należy umieścić tych, którzy czytają prze-

de wszystkim dlatego, żeby się dowiedzieć czegoś o świecie, nauczyć. Oczywiście jest to już wysoka świadomość czytelnicza. Ludzie z tej grupy rozróżniają rangi literackie, poszukują w bibliotekach książek napisanych przez znanych autorów — chcą takich książek jak najczęściej przeczytać.

Lubianym przez nich autorem jest nawet Krąszewski, najwyżej ocenianym znów Prus, jako twórca „Faraona” i „Emancypantek”.

Tu zamieścić by można z jednej strony wyznawców Rodziewiczówny, to jest tych, których Rodziewiczówna urzeka postawą nie artystyczną, a moralną swych dzieł — z drugiej strony i społeczników wiejskich, w zasadzie nie czytających dla wzruszeń i nie radujących się pięknem formy, lecz usiłujących natrafić w książkach (cenią sobie Orkana i Świętochowskiego) na myśli, które by ich nie w pełni ukształtowane światopoglądy zdołały umocnić jasno postawionymi wnioskami rozumowymi.

Z artykułu mojego wynika, że jak dotąd nie ma na wsi czytelników, którzyby rozumieli artyzm, którzyby książkę czytali dla jej wartości literackiej. Tak chyba jest. Nie wspominałem przecież nic o czytelnictwie poezji, która uosabia najbardziej formy artyzmu w literaturze.

Wiersze mówione na wsi się lubi — w gazetach, w druku zaś raczej się ich unika, chyba, że to jest bajka, satyra etc. Recytowany z estrady wiersz liryczny może być przyjęty z aplauzem jednak, odczuty głęboko, dlatego tak wielką jest rola przyszłego teatru (ludowego), który powinien nauczyć chłopów wzruszać się nie tylko piosenką, ale i artystyczną poezją...

II

Usiłowałem w swoim życiu dawać do czytania ludziom ze wsi i rzeczy trudne literacko. — Nałkowską, Iwaszkiewiczą, Rudnickiego i innych. Z małym wyjątkiem oddawano mi tomy, wzruszając ramionami.

— Za trudne, za rozwlekłe. Nie rozumiem ani słowa.

Chciałem przekonać też do Przybosa, mówiąc, że ten poeta jest dobry i mnie wzrusza.

— Ależ, dobrodzieju — odpowiadano mi — tam nie ma rymów, po co on tak pisze? Chyba nie umie pisać wierszy...

Przytoczę jeszcze jedną dygresję. Znałem czytelników wiejskich najwyższego typu (ludzie ci mieli wykształcenie jedynie w zakresie szkoły powszechnej) — mojego ojca, który entuzjazmował się Mickiewiczem, Prusem, Orzeszkową i Żeromskim, który sięgnął i do Platona i siedział nad nim kilka dni i coś w nim znalazł dla siebie, ale z braku rozrywki, z potrzeby, że tak powiem, przygody, (brak na wsi kina) umiał wziąć i bzdury najpodlejsze romansowe i utopić się w nich na całe godziny. Drugim był nie żyjący już dawno, mój przyjaciel Ignacy Książek. Ten pochłaniał wszystko, co mu popadło w rękę, głównie dzieła jednak literatury pięknej. Odczuwał piękno, humor, dowcip, jak najwrażliwszy odbiorca. Ignac, kiedy dowiedział się na przykład, że głośny autor polski, powieści Prus, czy Żeromski napisali jeszcze książkę, której on nie czytał, dosłownie popadał w niepokój.

— Czy ja to zdążyć przeczytać, tak chciałbym przeczytać! — mówił szybko.

— Na drugim świecie nie dadzą święty Pieter zaglądać do książki — dodawał z humorem wisielczym, zważywszy, że nie wiele do śmierci mu brakowało.

Trzeci J. S. czytał rzeczy najtrudniejsze, więc Słowackiego, Krasińskiego i tam tylko coś znajdował dla siebie, romansem gardził.

Do czego dążą te uwagi? Chcę przekonać moich przyjaciół literackich, lekających się chłopów-konsumenta jako wielkiego niemowy, barbarzyńcy, że obawy ich, zwątpienia są bezpodstawne. Po Żydach dziś wymordowanych, którzy byli najchłonięjszymi odbiorcami powieści, po ziemiaństwie (kobiety), które wiele czytało, wieś to czytelnik, na którego trzeba stawiać, dla którego trzeba pisać.

Pisać? Lecz jak? Tu się nasuwają wątpliwości. Dzisiejsza powieść polska z wyjątkami jest za „gęsta”, za opisywacka, za sztukateryjna, należy z pożytkiem dla jej rozwoju wrócić chyba do żywej narracji, do fabuły. Pamiętajmy bowiem, że rodzynki dobre są w cieście, oddzielnie spożywane wywołują nudność niekiedy.

STEFAN LICHANSKI

WILHELM SZEWCZYK — EPIK ŚLĄSKA

W otwierającym poemat „Noc” liście „Do kolegi Bogumiła w wileńskiej okolicy” pisze Wilhelm Szewczyk: „Psychika Ślązaka jest psychiką skrajności. Albo się jest renegatem zdecydowanym albo Polakiem walczącym. Zimni i obojętni giną tu po krótkim czasie”.

O prawdziwości tych słów przekonało mnie zetknięcie się ze Ślązakami w oświęcimskim obozie koncentracyjnym. Nie pamiętam ani jednego z pośród nich, który byłby człowiekiem wątpliwym, nie zdecydowanym, przeczucującym się od optymizmu do rozpacz, od bezwolnej rezygnacji do desperackiego zuchwalstwa. Ślązacy — to byli albo najwartościowisi Polacy, albo... „die Schlonsacken”, renegaci najplugawszego gatunku.

Bez zrozumienia specyficznej psychologii ludu śląskiego niepodobna ustosunkować się należycie do twórczości takich poetów jak Kubisz czy Szewczyk. Są to poeci zbiorowości. Charakteryzuje ich ubóstwo liryki osobistej, przewaga motywów społecznych i narodowych.

To zasadnicze pokrewieństwo nie niweluje jednak poważnych różnic między poszczególnymi poetami śląskimi. Kubisz jest w swej wypowiedzi poetyckiej bardziej efektowny niż Szewczyk, ale właśnie autor „Posągów” *) daje najpełniejszy chyba wyraz psychiki śląskiej w okresie niemieckiej okupacji.

Słownictwo Szewczyka jest mało literackie. Narzędziem wypowiedzi jest dla niego mowa potoczna, wzbogacona elementami gwarowymi.

Świt. Od kopalni biły zadymione kroki,
pół płótna schgnęły wolno, umaczone w mgłę.
Uliczki uciekały jak górskie potoki
wzburzone i spłoszone z rana byle czym.
Na rogu stał policjant i płaszczy swój rozpiął
i śmiał się i pozdrowiał każde małe dziecko.
Dzień się jak pod owocem pod słońcem ugiął,
wiatr, suchy konar, chrząścił i łupał się lekko.

Nie jest to język zdolny wypowiadać subtelne nastroje i półtony liryczne, jest to natomiast język zdolny formułować wyobrażenia w kształt niemal dotykalny, jest to język typowo epicki.

Epizm nie jest u Szewczyka zamierzeniem programowym, jest on naturalną formą wypowiedzi poety. W tych wierszach, w których Szewczyk przemawia nie obrazowymi konkretami a próbuje liryzmu bezpośredniego („Hymn do poezji podziemnej”) lub patetycznego symbolizmu (niektóre sonety z cyklu „Pasje strasburskie”) popada w poetycki banał w guście młodopolskim („A tu burza skały targa na zboczach, jak zwierzę przez usta gromów głośną bucha pianą”). Dopiero tam gdzie liryzm Szewczyka osnuje się koło jakiejś epicko, wyraziście zarysowanej wizji centralnej, zdobywa poeta swój wyraz samodzielny i osiąga pełny efekt („Pastorałka maluczkich”, „Wiersz o nadziei więziennej”, „Kościół Najświętszej Marii Panny w Katowicach”, „Fragment”).

Obok wierszy tego typu jak wymienione powyżej na plan pierwszy wysuwa się poemat „Noc”.

Poemat Szewczyka mający za temat walkę podziemną Śląska z okupantem, operuje metodą filmowych wręcz skrótów sytuacyjnych, którym nadają głębię perspektywiczną związane z nimi partie liryczne. Akcja nie rozwija się więc powoli, czytelnik napotyka się tylko na jej najbardziej wyraziste, węzłowe momenty — a równocześnie poprzez tę akcję i jej interwały płynie jednolity strumień lirycznej powieści o śląskim patriotyzmie, śląskiej woli przetrwania i zwycięstwa. Bliżej od tego typu epiki do filmu niż do normalnej prozy powieściowej.

Istnieje poezja sztuki, poezja oglądająca przez pryzmaty doraźnych wzruszeń, nastrojów i niepokojów świat wiadomy i zastany. I istnieje poezja życia kształtującego się w upartej, zaciętej walce z otoczeniem i z własnym poczuciem braku i niepełności. Do tego właśnie typu poezji współdziałającej i współwalczącej z realnym życiem realnych ludzi należy poezja Szewczyka. Zacieśnia to do pewnego stopnia jej horyzont i ogranicza jej możliwości, skazuje ją na pewną bezforemność, na surowość i rudymantarność stylu, co nie wyklucza niebezpieczeństwa popadania w banał z braku dokładnego wykształcenia techniki pisarskiej. W możliwościach jednak i oddziaływania społecznego i jako preforma nowych form poetyckiego wyrazu poezja ta spełnia rolę daleko donioślejszą niż poezja kunsztmistrzów doskonalących i czelujących formy już zastane, cudze. Dlatego pełną słusność ma Szewczyk, gdy pisze:

Milion górników mój wiersz dźwiga...
milion górników, których nie opuszczę,
— bo do ich czarnych łachów serce me się tuli —
chłubi się moim wierszem jak podziemnym kruszcem...

*) Wilhelm Szewczyk: *P o s a g i, poezje*. Wydawnictwa Instytutu Śląskiego, Katowice, 1945, str. 63+1.

W roku 1945 we „Wsi” pisali:

I. POEZJA

Baranowicz Jan
Bojar Józef
Bojarczuk Stanisław
Buczkówna Mieczysława
Bartelski Lech
Czechowicz Józef
Frasik Józef Andrzej
Heriel Józef
Haladaj Stefania
Jucha Stanisław
Janowski Jarosław
Janczarski Czesław
Kamińska Anna
Kubicki Marian
Kubisz Paweł
Majczak Bronisław
Machejck Władysław
Marzec Edward
Milczarek Władysław
Michalski Ozga Józef
Marszałek Jan
Olcha Antoni
Ozóg Jan Bolesław
Oleksik Klemens
Piętaś Stanisław
Plesiński Jan
Piecówna Irena
Przyboś Julian
Pękalski Michał
Poczek Jan
Pokora Leon
Rybak Eugeniusz
Rudnicka Stefania
Stachowski Józef
Szewczyk Wilhelm
Skoneczny Stanisław
Sierp Zygmunt
Wójcik Stanisław
Wrona Edward
Ziarnik Piotr
Zochowski Tadeusz

II. POWIEŚĆ - NOWELA - OPOWIADANIE - HUMORESKA - PAMIĘTNIK

Dunarowski Władysław
Feluch Józef
Bojar Józef
Dworak Michał
Goździkiewicz Teodor
Jażdżyński Wiesław
Kałkosz Włodzimierz
Morton Józef
Minias Marian
Ozóg Jan Bolesław
Papier Tadeusz
Piętaś Stanisław
Pogan Józef
Pokora Leon
Szarek Maciej
Sobieszek Janina
Rączkowski Edward
Truchanowski Kazimierz
Zalewski Witold

III. PUBLICYSTYKA SPOŁECZNO-KULTURALNA - (teatr, oświata, gwara, sztuka ludowa).

Bratny Roman
Cieślak Stanisław
Grad Mieczysław
Kałużyński Zygmunt
Król Jan Aleksander
Kurek Jalu
Krokwia Jan
Natanson Wojciech
Solarzowa Zofia
Szałudynger Jan
Urban Antoni
Wiktor Jan

IV. KRYTYKA I SZKICE LITERACKIE

Greniuk Piotr
Brudziński W. L.
Król Jan Aleksander
Kałużyński Zygmunt
Lichański Stefan
Matuszewski Ryszard
Olcha Antoni
Plesińiarowicz Jerzy
dr Spytkowski Józef
Skwarczyński Zdzisław
Sobociński Leon
Timofiejew Grzegorz
Wielowiejska Helena
Wiktor Jan

V. REPORTAŻ - FELIETON - LISTY

Barchanowska Maria
Czuła Maciej
Drewnowski Jerzy
Dzieniasz Leopold
Gzowski-Junosza Aleksander
Hierowski Zdzisław
Marzec Edward
Matuszewski Ryszard
Olcha Antoni
Padykuła Franciszek
Rudnicka Stefania
Stroynowski Juliusz
Syska Henryk
Słeciuk Jan
Wyrobek Piotr

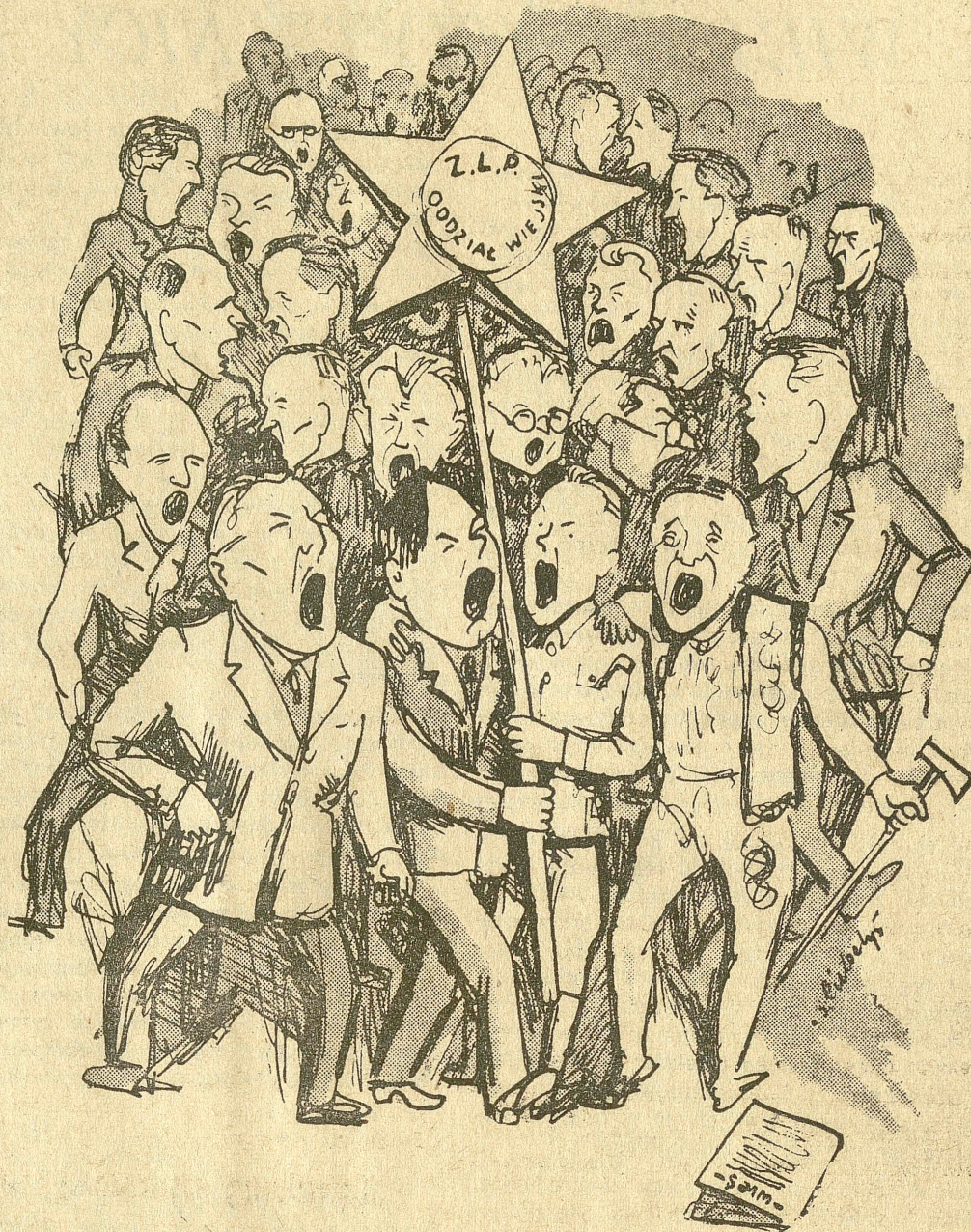
VI. CHŁOPSKIE SZTUKI TEATRALNE

Jucha Stanisław
Kamińska Anna

VII. PRZEKŁADY

Jaworski Kazimierz
Kempf Jerzy
Kozłowski-Jastrzębiec Czesław

NASI KOLENDNICY



W pierwszym rzędzie od lewej: P. Kubisz, St. Piętaś, J. A. Król, St. Nędza-Kubiniec. W drugim rzędzie od lewej: A. Olcha, J. A. Frasik, J. Ozga-Michalski, J. B. Ozóg, St. Skoneczny, J. Morton. W trzecim rzędzie: M. Kubicki, Z. Sierp; dalej, z drugiej strony gwiazdy: M. Minias, J. Pogan, L. Pokora, T. Papier. Za nimi: E. Marzec. Wyżej, nad gwiazdą: W. Jażdżyński i Z. Stolarski, Z lewej strony gwiazdy: Z. Kałużyński, T. Goździkiewicz, St. Lichański.

Audycje „Twórczości Chłopskiej”

Staraniem redakcji „Wsi” i Oddziału Wiejskiego ZZLP Polskie Radio nadaje co dwa tygodnie w programie ogólnopolskim piętnastominutowe audycje poświęcone twórczości pisarzy i poetów chłopskich. Pierwsza audycja nadana została ze studio radiostacji łódzkiej w środę, dnia 12 grudnia o godz. 17.15. Miała ona charakter wprowadzający.

Słowo wstępne wygłosił Stanisław Piętaś, który omówił rolę Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Literatów Polskich i tygodnika „Wies” w organizowaniu życia kulturalnego i literackiego na wsi. Następnie Aleksandra Nowodworska i Zygmunt Stolarski odczytali wiersze: „Wnuczek orze” Edwarda Marca, „Manifest” Pawła Kubisza, „Młodość córki ros” Józefa A. Frasika, fragment z IV części poematu „Janosik” Stanisława Nędzy-Kubińca i „Zmierzch nadchodzi” Stanisława Piętaś.

Następne audycje poświęcone będą twórczości poszczególnych poetów czy pisarzy. Tak więc na drugi z kolei kwadrans „twórczości chłopskiej” złożą się: krótkie omówienie działalności pisarskiej Józefa Pogana i wybrany fragment z jego prozaicznych utworów.

Wszystkim czytelnikom „Wsi” i miłośnikom literatury chłopskiej, mającym możliwość słuchania radia, audycje te szczególnie polecamy.

Słuchajcie nas co drugą środę o godzinie 17.15 w programie ogólnopolskim.

W numerze noworocznym, powiększonym:

STANISŁAW NĘDZA - KUBINIEC

„Zemsta Janosika”

(dalszy ciąg poematu „Janosik”)

oraz

JAN WIKTOR

z „Zapomnianych źródeł”

DO CZYTELNIKÓW

Świąteczny numer „Wsi” przynosi specjalny materiał, złożony z utworów beletrystycznych i literackich. Redakcja „Wsi” kierowała się w tym wypadku chęcią dostarczenia naszym czytelnikom przede wszystkim świątecznej lektury; stąd odmienny sposób zredagowania naszego Godowego numeru.

NUMER 20 „WSI” ZAWIERAŁ:

Włodzimierz Kałkosz: Dlaczego wstępuję na Politechnikę. Jan Bolesław Ozóg: Nowy dom. Stanisław Nędza-Kubiniec: Janosik, Dr Józef Spytkowski: Samorodny talent prozaiczny Józefa Pogana. Zdzisław Skaroczyński: W dwadzieścia lat później, Antoni Urban: Czy gwara zniknie, Jan Aleksander Król: Kierunek rozwoju teatru ludowego, Grzegorz Timofiejew: Zeromski wobec ludu, Józef Pogan: Biedny i Bogaty, ponadto Fakty i Zdania.

Numer pojedynczy 5 zł
Miesięcznie 18 zł
Kwartalnie (za 13 numerów) 52 zł
Półrocznie (za 26 numerów) 95 zł

Wpłacać należy na adres:

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Dział prenumerat, Łódź, Piotrkowska Nr 62 (z zaznaczeniem „na tyg. „Wies”).

REDAKTOR NACZELNY — Jan Aleksander Król.

KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Kubicki Marian, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętaś Stanisław.
KOMITET TERENOWY: Frasik Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław, Kubisz Paweł.

Redakcja: Łódź, Piotrkowska 96.

Drukarnia: Łódź, Zwirki 2.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wyd. „Czytelnik”.

D-06307